PRACA

Tygodnik illustrowany



Popiołem...

Popiołem — jesteśmy,
Popiołem będziemy...
Jeśli po nad ziemię
Duchem nie spłyniemy.
Jeśli nie wykwitnie
W życiu naszem cnota —
Jeśli nie zaświeci
Wiary gwiazda złota.

Popiołem jesteśmy —
Gdyśmy ludźmi z ciała,
Jeśli się u nas w duszy
Iskra nie roztlała.
Jeśli tyle życia
Widzimy w około
Ile nam da „dzisiaj“
Spędzone wesoło.

Popiołem — jesteśmy!...
A przecież — duch Boga
Mieszka w tym popiele
Jako perła droga...
I ten duch nas wznosi
Nad wszystkie stworzenia.
On — uczczony życiem
W Anioły — proch zmienia!

Jadwiga S.

23. II. 1900.



Jubileusz.

Niezwykły jubileusz obchodziła dnia 19 lutego b. r. jedna z zasłużonych naszemu społeczeństwu instytucyi — Bank Ludowy w Czarnkowie obchodził dwudziestopięciolecie swego istnienia.

Dwadzieścia pięć lat pracy wytrwałej i rozumnej, której Bóg poszczęścił — jakiż to piękny przykład dla całego społeczeństwa, ileż zachęty do nowych usiłowań w kierunku podniesienia dobrobytu! Na te dwadzieścia pięć lat złożyło się dużo pracy i poświęcenia obywatelskiego, dużo bezinteresowności i jasnego zrozumienia naszych potrzeb społecznych.

Aby ten kawał pracy dokonanej, na który dziś Bank ludowy w Czarnkowie z dumą ma prawo spoglądać, należycie ocenić, trzebaby na tle ogólnych potrzeb społecznych i ekonomicznych naszego społeczeństwa znaczenie każdej takiej instytucyi wyjaśnić; należałoby w dosadny sposób przedstawić doniosłość i znaczenie Spółek i kas pożyczkowych, którym lud nasz zawdzięcza swe wyzwolenie z pod jarzma lichwy. Spółki i kasy pożyczkowe porównano słusznie do kanałów, które każdy zaoszczędzony i spoczywający wśród nas bez użytku grosz sprowadzają do ogólnego basenu, aby z jego pomocą użyźnić glebę pod rozwój rolnictwa, przemysłu i handlu, aby cały ekonomiczny nasz rozwój oprzeć na trwałych podstawach *oszczędności, porządku, rzetelności i pracy.*

Każdemu społeczeństwu do wyrobienia w sobie warunków egzystencyi ekonomicznej a nawet wprost narodowej niezbędne są pewne zasoby materyalne, tak jak pojedyńczemu człowiekowi potrzebne są środki do zdobycia wyżywienia. Lecz siły jednostek są za małe, aby dla społeczeństwa stworzyć te zasoby materyalne, pojedyńczy człowiek nie jest w stanie podołać olbrzymiej pracy około podniesienia dobrobytu społecznego; dlatego więc drogą assocyacyi, drogą pracy zbiorowej dążyć powinien każdy naród do stworzenia sobie tych podstaw dobrobytu w ogólnej walce o byt. Taki cel zbiorowej pracy wytknęły sobie Spółki i Towarzystwa pożyczkowe — cześć obywatelom, którzy, jedni z pierwszych, tę powszednie dziś uznaną prawdę o konieczności pracy zbiorowej rozpoznali i w czynie zastosować umieli. Stali się oni pionierami nowej idei wśród społeczeństwa, — idei, której zawdzięczać będzie nasz naród wiele, bardzo wiele dobrego...

Mylne byłoby zapatrywanie, że społeczeństwo nasze kapitałów nie posiada wcale i o własnych siłach z ubóstwa dźwignąć się nie może, niewyczerpany bowiem kapitał posiadamy w oszczędności, która każdej wytrwałej pracy bogaty plon zapewnić jest w stanie i małymi środkami do wielkich celów dążyć. Dzięki pobudzeniu społeczeństwa do oszczędności jest możność wytworzenia taniego kredytu, a tem samem możność stworzenia podwalin naszego dobrobytu materyalnego i zapewnienia dalszego zdrowego rozwoju.

Nic dziwnego, gdy dziś takie poglądy do ustalonych już należą, ponieważ od ćwierci wieku mamy oto wśród siebie obywateli, którzy nad szerzeniem tych poglądów w teoryi i w praktyce pracowali niezmordowanie.

Lecz poświęćmy słów parę historyi Banku Ludowego w Czarnkowie, którą w krótkich, lecz wymownych danych zawiera wydane przez zarząd jubileuszowe sprawozdanie.

Dnia 25 lipca 1875 roku w lokalu pana Wruka w Czarnkowie zebrało się 49 uczestników mającej się założyć Spółki, pisze sprawozdanie, i tegoż dnia „Spółka zapisana z nieograniczoną poręką: Bank Ludowy w Czarnkowie“ zawiązana została.

Rzućmy okiem na rozwój Spółki. Widzimy, że ilość członków stale wzrasta. W pierwszym roku istnienia w 1875 było pod koniec roku 59 członków, dziś ich liczy Spółka 575. Pokaźna to liczba, a tem wymowniejsza, gdy się rozważy, że ani na chwilę rozwój Spółki nie został wstrzymany, i gdy się pomyśli, że tak znaczna liczba członków z ludu się składa, a mianowicie liczy Spółka 448 członków - rolników, posiadających własne gospodarstwa, 60 członków-przemysłowców, mających nieruchomości i 67 członków niemających żadnej własności.

Rzućmy okiem — choć pobieżnie — na stan interesów Banku Ludowego. Udziałów ma Bank na sumę około 75 tysięcy mk., (udział wynosi 600 mk. a składka roczna 5 mk.) Złożone depozyta wynoszą 255 tysięcy mk., a pożyczki wekslowe 300 tysięcy. Bywały pożyczki po 30 mk. Najwyższa doszła do 6 tysięcy mk.

Walne zebranie odbyło się dnia 19 lutego na sali pana Łaszewskiego, który jest jednym z najgorliwszych członków Spółki i członków Zarządu.

Niestety, nie dożył tego walnego zebrania zacny prezes Rady Nadzorczej i współzałożyciel Banku, pan Wincenty Wawrowski ze Sławna. Był on prezesem od samego założenia Banku, a jak mówi protokuł pierwszego zebrania, że został wybrany jednogłośnie, tak też i wszystkie następne o nim świadczą, że nieograniczone posiadał zaufanie wszystkich co go znali. Chlubną pamiątką zaufania tego jest znajdująca się u grobowca tablica pamiątkowa, przez Bank Ludowy fundowana.

Ciesząc się niewymownie z rozwoju Banku Ludowego, w imieniu całego ogólu składamy na tem miejscu Bankowi życzenia, aby za drugie lat dwadzieścia pięć na jeszcze lepsze plony swej pracy spoglądał. Społeczeństwu naszemu potrzeba organizacyi na każdem polu i potrafi ono ocenić zasługi tych, którzy potrzebę tę odczuć i wedle swych sił jej zaradzić umieli.

Vester.



Z sejmiku gospodarskiego w Toruniu.

Raz tylko do roku zbierają się ziemianie zachodnio - pruscy na wspólne narady w sprawach dotyczących gospodarstwa, ale trzeba przyznać, że zjazdy te są zawsze bardzo starannie przygotowane, że poruszane bywają na nich prawdziwie żywotne sprawy, i że dyskusya nad niemi oraz referaty zawsze wpływają ożywczo i podniecająco na uczestników, mianowicie zaś kształcą ich umysły i bogacą mnóstwem najcenniejszych rad, spostrzeżeń i wskazówek. Zasługa to głównie — jeżeli nie wyłącznie panów gospodarzy sejmików, którymi już od kilku lat są stale pp. *Edward Donimirski* z Łysomic, *Michał Sczaniecki* z Nawry i *Erazm Parczewski* z Belna, nietylko znakomici agronomowie, ale zarazem obywatele doświadczeni i czynni w każdej dziedzinie życia publicznego, społecznego. Kto raz uczestniczył w takim sejmiku toruńskim — ten pospieszy napewno tamdotąd także w następnym roku — aby się znów pokrzepić widokiem poważnego grona zacnych obywateli, ich zapałem i wytrwałością w pracy nad wspólnem dobrem.

Szkoda tylko, że sejmiki te obejmują właściwie tylko właścicieli większych majątków, że nawet liczni bardzo w Prusach Zachodnich zamożni i inteligentni posiedziciele kilkusetmorgowych, a więc średnich folwarków słabo zwykle są na nich reprezentowani. Czyja w tem wina? Zapewne nie gospodarzy sejmików — ci bowiem wzywają do uczestnictwa wszystkich rolników, żadnego nie wykluczają, każdego witają równie serdecznie. Więc chyba mniejsi ci posiedziciele sami nie poczuwają się do łączności z zamożniejszymi braćmi? Niech będzie jak chce, dość, że na sejmikach samych objawia się już od lat kilku żywa tendencya do rozszerzenia zakresu pracy i wpływów, do odświeżenia soków żywotnych tej najważniejszej instytucyi rolniczej w Prusach Zachodnich. To, co tam się mówi i rozbiera — staje się własnością duchową zbyt małego tylko kółka, a przecież zasługuje na to, aby doszło do wiadomości jak najszerszych warstw rolniczych. Są to wszystko sprawy, które powinny stać się tematem obrad na zebraniach podobnych sejmików *powiatowych* lub okręgowych, w którychby i mniejsi posiedziciele brali udział.

Wielokrotnie już też radzono nad tem — jak się zabrać do takiego uogólnienia, uprzystępnienia owoców sejmiku szerszym kołom, jak wogóle skupić rolników zachodnio-pruskich w jedno zwarte, jędrne, drgające zdrowem życiem ciało? Załatwienie tej kwestyi rozbijało się mianowicie o zbytnią mnogość pomysłów i propozycyi. W Prusach Zachodnich nie tak łatwo stworzyć organizacyą rolniczą — jak u nas. Liczba większych posiedzicieli ziemskich, którzy u nas zwykle idą na pierwszy ogień i dają inicyatywę, jest tam już bardzo szczupłą. Mamy powiaty, w których już niema ani jednego większego właściciela ziemskiego. Średni zaś, otoczeni przeważnie przez Niemców, nie wyrobili w sobie jeszcze potrzebnej do pracy publicznej śmiałości i samodzielności. Najważniejsze zaś to, że nawet na połowę, *conajmniej* połowę duchowieństwa tamtejszego absolutnie liczyć nie można, bo jeśli nie jest z poczucia i pochodzenia niemiecką, to w każdym razie nie posiada odpowiedniego zrozumienia tego zadania swego i ochoty do pracy w tym kierunku. Niewielka zaledwie garstka zachodnio-pruskich księży równać się może pod tym względem z naszem przezacnem duchowieństwem. Co prawda, jeśli już się i tam jaki kapłan znajdzie w tym rodzaju, to już szczere złoto, zarazem dzielny i wytrwały.

Nie ma tedy komu na razie jeszcze powierzyć organizacyi rolniczej w wielu powiatach, i o ten właśnie brak głów i rąk do przewodnictwa i naczelnej pracy rozbijały się już dotychczasowe próby zorganizowania rolników. A próby to bardzo dawne! Mało komu zapewne wiadomo, że myśl zakładania Kółek rolniczych nie wyszła z Księstwa, lecz właśnie z Prus Zachodnich; że pierwsze polskie Kółko rolnicze tam powstało, w *Piasecznie*. Ztamtąd dopiero przeniesiono myśl tę i ustrój Kółka na grunt wielkopolski. Dziś atoli po kilkudziesięciu latach liczy Księstwo przeszło 200 Kółek z kilkunastu tysiącami członków — Prusy Zachodnie natomiast posiadają ich zaledwie 23 — w tej liczbie jeszcze 6 przemysłowo-rolniczych, z niespełna 1600 członkami.

A jednak uznawano na każdym sejmiku konieczność i piekącą potrzebę dalszej pracy wytrwałej w tym kierunku. Z rozlicznych pomysłów odnośnych wymienimy kilka: I tak jedni radzili, aby sejmiki doroczne odbywały się za każdym razem w innem mieście, w innym powiecie, a nie wyłącznie w Toruniu. Autorowie tego pomysłu przypuszczali, że przez to rozbudzi się ducha i samodzielność większą w każdym powiecie, właśnie między średnimi posiedzicielami, którzy wprawdzie do Torunia na wiec nie przyjeżdżają, którzy atoli wzięliby w nim udział, gdyby się odbywał w bliższem ich sąsiedztwie, w stolicy ich ziemi lub powiatu. Inni znów radzili wyszukać *Patrona*, na wzór Księstwa, i w ręce jednego męża złożyć nietylko inicyatywę, ale i kierownictwo sprawy. Niestety, nie łatwa to rzecz znaleść od razu..... drugiego pana *Maksymiliana Jackowskiego;* bez jego zaś zalet i zdolności odnośnych, bez jego niezmordowanej pracy i poświęcenia dla sprawy Kółek, mąż piastujący ten urząd w Prusach Zachodnich nic nie zdziała i pozostanie tylko — patronem nominalnym.

Wybrano potem wielogłowne zarządy i komisye, które miały się zająć organizacyą rolników na szersze rozmiary, ale i ten wysiłek spełzł na niczem. Założono wprawdzie wiele Kółek czyli „Towarzystw", podobno aż do 50 — ale większa połowa dla braku lokalnych przewodników usnęła.

Tymczasem z biegiem lat potrzeba szerszej organizacyi stawała się coraz bardziej piekącą. Nietylko bowiem coraz to trudniejsze warunki produkcyi rolniczej wymagają skupienia się, jednoczenia wszystkich poszczególnych sił ku wspólnemu dobru — ale z drugiej pojawił się także „nieprzyjaciel, który korzystając z naszego uśpienia, sieje kąkol pomiędzy pszenicę naszą." Nieprzyjacielem tym jest sławny „Bund" rolników niemieckich. Werbuje on członków w Prusach Zachodnich bardzo licznie do szeregów swoich, aby wyzyskiwać ich pomoc i składki, do własnych, dla nas często nawet wprost wrogich celów. Trzeba tedy koniecznie coś zdziałać, stworzyć coś własnego, rodzimego.

Myśl tę podjął na nowo na tegorocznym sejmiku, odbytym w dniu 20 bm. pan mecenas *Palędzki* z Torunia, i dzięki poparciu wielu światłych obywateli zdołał przeprowa-

dzić wybór komisyi, która ma się zastanowić nad tem, czy założyć „*Centralne Towarzystwo rolnicze*“ dla Prus Zachodnich, — z którego ramienia powstawałyby Towarzystwa lokalne, i któreby niemi rządziło, czy też jaką inną formę organizacyi. Do komisyi tej wybrano siedmiu obywateli wiejskich — między innymi niestrudzonego posła p. Leona *Czarlińskiego* — większych i średnich, oraz 4 kapłanów, znanych z swej gorliwości obywatelskiej. Nadto przyznano komisyi prawo kooptacyi. Popełniono przytem dziwne niedopatrzenie, bo *inicyatora* projektu pominięto, ale zapewne błąd ten naprawiony zostanie w ten sposób, że się pana mecenasa przez kooptacyą powoła do składu komisyi. Życzymy tej Komisyi, aby znalazła ową drogę wyjścia, drogę do celu, której tak długo napróżno szukano, iżby stworzyła organizacyą — odpowiadającą potrzebie i wymaganiom obecnych czasów i stosunków. Szczęść Boże! Gdyby spełniono to zadanie, byłby to najpiękniejszy owoc tegorocznego sejmiku w Toruniu! „*Kujawiak*“.

Najlepsze skarby.

A więc o „skarb narodowy w Rapperswylu“ chodzi głównie w sprawie aresztowania biednego pana Witołda Leitgebra! O ten mały, ubogi zapas gotówki, jaki z legatów kilku ludzi gorętszej krwi lub ze składek nie wielkiej liczby marzycieli, zebrano w zamku szwajcarskim nad jeziorem zurychskiem! Jeśli pan Witołd Leitgeber nie ma nic więcej na sumieniu, jak tylko ów nieoględny artykuł w odnośnej broszurze o tym „skarbie narodowym“ — a przekonani jesteśmy, że poza tem jest rzeczywiście niewinnym, to chyba nawet w więzieniu spać może spokojnie. Mamy tyle zaufania do pana nadprokuratora Rzeszy niemieckiej i trybunału w Lipsku, że spodziewamy się naprzód, iż nie będą uważali agitacyi na rzecz tego skarbu, dla zdrady stanu, za zbrodnię, którąby mogła zagrażać bezpieczeństwu państwa niemieckiego.

Bo jakże się ten skarb przedstawia? Wszystkiego razem jest tam podobno nie wiele nad 150 tysięcy marek. Kwota ta wzrasta tak powoli, że aż żal się Boże — że za sto lat bodaj czy się podwoi. Co z tem począć? Przypuśćmy, że istniałoby rzeczywiście grono ludzi, któreby na seryo myślało o jakiejś polityce „czynu“ — to jakichże czynów dokazać można z tą nieznaczną kwotą? Na poskromienie „czynów“ za te pieniądze podjętych wystarczałby tuzin policyantów pruskich lub rosyjskich i żaden żołnierz nie potrzebowałby w tym celu sięgnąć po ostry nabój. Lecz o tem też chyba nie ma mowy, nie myślą o tem zapewne nawet ci, którzy stoją na straży tego „skarbu“ — ani ci, którzy zalecają płacić do „skarbu“ tego składki. Nie marzył zaś o tem bez wątpienia biedny „więzień ostrowski“. Poetycka to dusza i natura, temperament żywy; więc nęciły go może nadzwyczajne - romantyczne okoliczności sprawy rapperswylskiej, tajemniczość, jaka ją otacza, a wspomnienia z pobytu w uroczej tej miejscowości uniosły go tak, że pofolgował fantazyi, puścił wodze pióru, nie przeczuwając, że uniesie go ono aż... za kraty więzienia pruskiego. Hakatyści, korzystając z każdej, choćby najbłahszej okoliczności, nie zasypiają też gruszek w popiele. Już dziś bowiem zerwała się z tego powodu prawdziwa burza w hakatystycznej prasie. I dużo zapewne wody upłynie w Wiśle i Warcie zanim się uspokoi ta burza — o nic.

Bronią naszą najskuteczniejszą jest słuszność i sprawiedliwość naszej sprawy, jest nasze święte, nigdy się nie przedawniające prawo do *życia*, do utrzymania naszej *narodowości*, do *uczestniczenie w swobodach*, jakie posiadają wszystkie inne cywilizowane narody. Ale prawa chcemy bronić tylko prawnie, legalnie. To jest życzeniem ogółu, pragnieniem narodu.

Do obrony naszej narodowości mamy też skuteczne drogi i sposoby, mamy nawet twierdze niezdobyte. Mamy arenę parlamentarną, mamy możność pracy i dorobku, mamy wreszcie *ognisko domowe*, do którego jeszcze wrogie nam żywioły wstępu nie uzyskały.

Naszą najlepszą bronią jest *praca, dorobek*, przy równoczesnem wiernem, pełnem miłości pielęgnowaniu naszych duchowych skarbów narodowych, naszego języka, naszej tradycyi, naszej literatury i poczucia polskiego. Najlepszym naszym *skarbem narodowym* jest to, co zbierzemy, co uciułamy, co odłożymy dla naszych dzieci i wnuków; bo gdy damy im lepszą podstawę bytu i równocześnie nauczymy ich dalej tę podstawę powiększać i umacniać, to i najzagorzalsi wrogowie nasi dadzą nareszcie za wygraną, widząc swą niemoc, i polepszenie bytu politycznego *nastąpi — samo przez się.*

ski...



Rozwój techniki w dziewiętnastem stuleciu.

I.

Możność przenoszenia swych myśli telegrafem i telefonem na niezmierne odległości, łatwość osobistego porozumienia się, oraz transportu towarów przez usunięcie przeszkód dalekich odległości, wskutek tego zaś wzrost handlu i przemysłu, a z nim dobrobytu i możliwości zadawalania potrzeb i zachceń ludzkich, zmieniły zupełnie warunki życia jednostki, w naszych oczach żyjącej, w porównaniu do sposobu i trybu życia człowieka w początku stulecia dziewiętnastego żyjącego.

Z łatwością zaspokajania swych potrzeb wzrosły i wymagania do życia, hygieny, komfortu i wygody stawiane. Jakżeż nieszczęśliwym czułby się człowiek, we wielkiem obecnie zwłaszcza wychowany mieście, gdyby mu kazano mieszkać w miejscowości źle wybrukowanej, zabrudzonej, nie oświetlonej wieczorem, nie posiadającej ani gazet, ani wodociągów, ani też kolei konnych lub elektrycznych — gdyby chcąc wyjechać do kilka mil oddalonego znajomego, musiał ekwipować się, jak dzisiaj mniejwięcej do podróży przez ocean, a o rzeczach jaknajbardziej go obchodzących dopiero po kilku mógł się dowiadywać tygodniach?

Takie mniejwięcej stosunki i warunki życia panowały w początkach kończącego się obecnie wieku XIX.

Wielką tę zmianę, jaka nastąpiła, zawdzięczamy jedynie rozwojowi techniki i przemysłu.

W dawniejszych czasach za zatrudnienie człowieka wolnego niegodne uważana, później często zapoznawana i przez wyjątkowych ludzi w małej części swych różnorodnych d iałów wykonywana, rozwinęła się technika w ubiegłym stuleciu w sposób niesłychanie szybki.

Rozwój nauk ścisłych ogólny wpłynął na nią ożywczo; badania, z doświadczeniami połączone, nadały i technice podstawę poważną, naukową. Dzisiaj są nauki techniczne, na politechnikach wykładane, równie uprzywilejowane, równie uprawnione i poważane, jak nauki uniwersyteckie.

Chcąc bliżej przypatrzyć się rozwojowi techniki w XIX stuleciu, wypada nam w dalszym ciągu zbadać rozwój

poszczególnych jej części, uwzględniając naturalnie główne tylko fakta, najważniejsze działy i pierwszorzędne wynalazki, postęp wywołujące.

Chęć transportu większych przedmiotów, podniesienia wielkich ciężarów, wogóle wykonania większych prac, zmusiła człowieka do ujarzmienia i zużycia sił w przyrodzie istniejących. Praca, ręką człowieka wykonalna, jest względnie małą, tak samo i praca zwierząt, mimo użycia odpowiednich przyrządów, jak n. p. maneży.

Przyroda bogatą jest w niezmierne siły, mniej lub więcej ukryte. Ujarzmienie ich i racyonalne zużycie piętnuje rozwój techniki budowy maszyn w kończącem się stuleciu.

Przyrząd, wywołujący poruszenie, czyli wydający pracę mechaniczną, którą otrzymuje z nieprzebranych skarbów przyrody we formie spadającej wody, pędzącego wiatru, lub we formie ciepła, nagromadzonego w niewyczerpanych pokładach węgla, nazywamy motorem.

Najważniejszym dla rozwoju techniki był i jest motor parowy, a więc przyrząd, który zużywa ciepło węgli, lub innego paliwa, i zamienia je za pomocą silnie naprężonej pary z wody w pracę mechaniczną, jako kręcenie osi, za pomocą którego wszelkie inne maszyny w ruch wprowadzić można.

Motorem parowym, jego powstaniem, rozwojem i ulepszeniem we wieku XIX, oraz zastosowaniem do rozmaitych działań i potrzeb zajmiemy się więc nasamprzód w przyszłej pogadance. *W. S.*

Wiek dziewiętnasty.

V.

Mówiliśmy, że rok 1848 jest przełomowym w wieku dziewiętnastym, że od niego dopiero datują się potężne polityczne i społeczne zdobycze, które wiekowi temu wycisnęły właściwe mu piętno.

Dzieje się zwykle, że w pierwszych latach po jakiejkolwiek rewolucyi biorą znowu górę te elementa, przeciwko którym rewolucya była skierowaną i siłą się zatrzeć znowu wpływy i skutki rewolucyi i sprawę społeczeństwa czy narodu na dawne cofnąć tory. Tak też było i w pierwszych latach po roku 1848. Wszędzie, we Francyi, w Prusach, Niemczech niemal całych i Austryi stanęli znowu u steru ludzie wsteczni, reakcyjnych przekonań i dążeń.

W Austryi zniesiono w r. 1852 jednem pociągnieniem pióra monarchy konstytucyą niechętnie nadaną i wymuszoną w r. 1849, a podniesiono do wysokości prawa jedno tylko hasło, hasło nietolerancyi i wstecznictwa.

Nie lepiej działo się w Prusiech i wogóle w Niemczech. Król pruski, Fryderyk Wilhelm IV, nie śmiał wprawdzie urzędownie znieść nadanej raz konstytucyi, starał się przecież, wedle własnych słów jego, wyrzucić z niemieckich konstytucyi demokratyczny brud haniebnego roku.*)

W tem dążeniu wspierały go na wyścigi absolutystyczne, feudalne i klerykalne elementa, a biurokracya pruska była naturalnie biernem narzędziem w rękach rządu.

Wszystkim tym reakcyjnym partyom brak jednakże było właściwej siły duchowej, brak im było ducha, a że oddziaływały krępująco i tamująco na postępowe warstwy narodu, wytworzyła się ogółem w Niemczech, w czasie między rokiem 1850 a 1860 atmosfera bezduszna; ten dziesiątek lat to w życiu umysłowem Niemiec najbiedniejsza i najsmutniejsza chwila dziewiętnastego wieku. Niemcy sami czuli wtenczas eine „Katzenjammerstimmung“ i przyznają się, że im było „übel bis zum Erbrechen“.

Cóż się działo wówczas we Francyi? I tam zaprzeczył Napoleon III, ten mąż, którego rewolucya wydała hasłom i zdobyczom rewolucyi, a powołany wolnymi głosami narodu na przedstawiciela jego, później prezydenta Rzeczypospolitej, postawił sobie za cel rządów swych, utrwalenie dynastyi swej we Francyi i wskrzeszenie cesarstwa Napoleońskiego. Wskutek zamachu stanu, zrobionego w grudniu 1851, ozdobił czoło swe koroną cesarską i starał się rewolucyjną Francyą z faktem tym pogodzić.

Im więcej rządy jego były reakcyjnemi, im więcej hamował polityczny i umysłowy nawet rozwój jednostek, tem bardziej silił się zadowolić poddanych swych w inny sposób. Przedewszystkiem więc dbał o materyalny dobrobyt w kraju; „bogaćcie się“, to było hasłem codziennem ówczesnej Francyi. Wzrastał przemysł, handel, rzemiosła, sztuki piękne, wszystko najgorliwiej przez rząd popierane; milionerzy wyrastali wówczas we Francyi jak grzyby po deszczu; „nie mamy teraz nic innego do roboty, jak zostać milionerami“, powtarzały sobie z zadowoleniem zmateryalizowane sfery kupców i fabrykantów.

Oczywiście, im więcej wzrastał dobrobyt wśród tych sfer burżoazyjnych, tem większą była nędza ludu roboczego, proletaryatu. Napoleon, bojąc się przedewszystkiem z tej strony rewolucyi, rznął kanały, budował koleje, wznosił gmachy, upiększał Paryż, aby i tym ludziom dać zarobek, z zarobkiem chleb i jaki taki dostatek.

Wiedząc jednakże, że materyalnemi jedynie korzyściami nie zadowoli pragnień i ambicyi swoich poddanych, nazywających się dumnie „la grande nation„ starał się zdobyczami polityki zagranicznej głaskać miłość sławy Francuzów i postawić Francyą na czele narodów europejskich, zarazem sobie samemu zdobyć pierwszorzędne i decydujące w Europie stanowisko. Ten to cel miał na oku czy to biorąc udział w wojnie krymskiej, czy włoskiej, czy powodując powstanie cesarstwa Meksykańskiego w Ameryce. Zwycięstwami czy to własną dyplomacyą, czy bronią Francuzów w sprawie krymskiej i włoskiej odniesionemi zdobył istotnie na czas pewien dla Francyi wpływowe i pierwszorzędne w Europie stanowisko i odświeżył wspomnienia pierwszego cesarstwa, zadawalając pragnienia żądnych sławy Francuzów. Szczególnie w czasie wojny włoskiej, popierając w niej sprawę Włochów głosił wówczas zmateryalizowanym swoim poddanym, tak aby to Europa cała słyszeć mogła, że Francya jedna jeszcze jest zdolną wieść wojnę jakąś dla idei. Za ideę tę podawał cesarz Francuzów ideę narodowościową, dla której Włosi wówczas zwycięski bój wiedli przez Francyą wspierani.

Przyznać to trzeba Napoleonowi III, że odgadł on, czy przeczuł hasło, mające zapanować pod koniec wieku dziewiętnastego. Hasłem tem, ideą ową polityczną była właśnie idea narodowościowa. Nemezys

---

*) „Den demokratischen Schmutz des Jahres der Schande aus den deutschen Verfassungen zu entfernen“.

dziejowa tak chciała, że ta idea, którą Napoleon we Włoszech popierał i deklamował, miała się zwrócić niebawem przeciwko niemu i jemu cios śmiertelny zadać. Ta to idea narodowościowa zespoliwszy Niemcy, dała im moc i siłę, by zwyciężyć Francyą, a na gruzach cesarskiego tronu Napoleona ogłosić nowe cesarstwo niemieckie i pod jednem berłem zwaśnione przedtem szczepy niemieckie — jedne mniej, drugie więcej chętne — zespolić.

Cesarstwo niemieckie to największa zdobycz tej to idei politycznej wieku dziewiętnastego; w imię tej samej idei dźwignęły się Włochy, dźwigają się Czechy, toczy się teraz walka w Austryi całej i w Węgrzech.

Ta idea dała w wieku dziewiętnastym niejednemu narodowi poczucie jedności, a z nią wolność polityczną, nam tylko jednym zabraniają i odmawiają prawa wierzyć w siłę twórczą tej idei i dla nas tylko, „rok po roku marnie leci, my w niewoli, my w niewoli“.

W następnym arykule pomówimy o znaczeniu i skutkach wojny francusko-niemieckiej, o skutkach klęski Francyi i o nowem cesarstwie niemieckiem. *Poznańczyk*,





Z TYGODNIA.

Nikt zapewne nie zaprzeczy, że trudno o coś nudniejszego, jak — sprawozdania z parlamentu austryackiego. Tak rzadko pada na jego arenie jakieś szlachetniejsze słowo, od czasu, gdy go opanowały rozmaite obstrukcye, taką osobliwość stanowią teraz jakieś przedmiotowe rozprawy, że zarówno dla dziennikarza, który ma z posiedzień zdawać sprawę, jak i dla czytelnika, który ma te sprawozdania czytać, trudno jest czasem oprzeć się wrażeniu, że parlamentaryzm w Austryi jest zupełnie zbytecznem, bo popsutem kółkiem w machinie państwowej. A jednak kółko to chce rząd wciąż naprawiać i w próbach nie ustaje. Za parę dni znowu odbędzie się posiedzenie parlamentu, a wtedy usłyszymy, czy znów zmiana rządu nastąpi, a może jaka nowa komplikacya parlamentarna na chwilę pojawi się w szpaltach gazet.

Jeśli jednak nudnemi uznać trzeba wieści o parlamentarnem rozporządzeniu w Austryi, to z obrzydzeniem w duchu siada każdy dziennikarz do notowania innej stałej rubryki wypadków bieżących: do projektów hakatystycznych. Lecz panowie hakatyści niezmordowani są w tworzeniu coraz to nowych pomysłów przeciw Polakom, a niektóre ich projekty dla swej oryginalności napraszają się formalnie pod pióro. Aresztowanie pana Leitgebra, związane w hakatystycznych mózgach naknajściślej z odezwą Ligi narodowej, wprawiło w formalny szał pruskich wynaradawiaczy zawodowych, a gazety ich, między innemi „Dt. Ztg.“ i, ma się rozumieć, nasza serdeczna przyjaciółka, „Schles. Ztg.“ Oba te godne organy prasy hakatystowsko-półurzędowej zgodnym chórem twierdzą, że skarb narodowy polski w Rapperswylu przewróci do góry nogami pół Europy, że Polacy amerykańscy czekają tylko na znak z kraju, aby sypnąć milionami dolarów na cele nowego powstania i że wreszcie pan W. Leitgeber jest jednym z członków wydziału skarbu narodowego, z czego, jak na dłoni wysnuwają wniosek, że Prusy, a z niemi całe Niemcy, a z Niemcami cała Europa, jeśli nie chce się doczekać „czegoś strasznego“ powinna wobec Polaków zastosować metodę co najmniej taką, jaką podług kodeksu zagrażają rządy anarchistom. Poczciwa ślązka kumoszka zgadała się na jedno ze znaną przekupką berlińską i postanowiły na razie, dla uchronienia Prus od niebezpieczeństwa, od politycznego samobójstwa, zażądać dla Polaków ni mniej ni więcej jak tylko — — wyjęcia ich z pod konstytucyi! O biedna konstytucyo pruska! Tyle dziur już w tobie porobił Bismark i jego epigoni, a tu nowy zamach się na ciebie szykuje. My, konstytucyjni obywatele pruscy polskiej narodowości, tyle już przecież mamy dowodów, jak wobec nas konstytucya jest zachowywaną, tyle w postaci komisyi kolonizacyjnej i wyrugowania naszego języka z sądów i szkoły mamy sposobności dobrodziejstwa tej konstytucyi ocenić, że doprawdy obawiamy się, że Niemcy póty ją dziurawić będą nowemi wyjęciami z pod prawa — aż się chyba same dziury z niej zostaną.

Dla wynagrodzenia Niemcom zaprzedanych Aegirowi milionów i miliardów na nową flotę, oraz dla naprawienia złego ich humoru postanowił rząd w roku bieżącym w grudniu wykonać spis ludności, uwzględniając przytem i Niemców za granicą przebywających. Po raz pierwszy przy tej sposobności ma być uwzględniona narodowość mieszkańców. Z tego powodu zawczasu już zwracamy uwagę naszym czytelnikom, aby zajęli się oświecaniem ogółu po wsiach i miasteczkach, że w tym spisie każdy ma podać swą narodowość polską, przez co na żadne przykrości się nie narazi; powinien każdy wyraźnie i stanowczo powiedzieć, że jest Polakiem, zachodzi bowiem obawa, iż tu i owdzie zechcą komisarze spisowi wmawiać w ludność polską, że ona jest poddaną królowi pruskiemu, a zatem *pruską*. Niech żaden Polak nie pozwoli na to, aby go zapisano jako Prusaka, bo my wszyscy jesteśmy Polakami, a z Prusami tyle mamy wspólnego, że się z ich protoplastami nasi przodkowie potykali na polach Tannenberga.

Zresztą, choćby przy takim spisie ktokolwiek tłomaczył naszym obywatelom, że to zaszczyt przecie być Prusakiem, bo Prusacy to potężny dziś naród w Europie, to niech każdy podziękuje za taki zaszczyt, bo Prusacy ani w Europie, ani nawet w Afryce sympatyi nie mają. Zwłaszcza w Afryce. Niedawno Bebel w parlamencie wykazał, że książę Arenberg, kulturtreger niemiecki w Afryce, w okrutny sposób zamordował podwładnego sobie murzyna za to, że ten nie chciał czy nie umiał zaspokoić jego awanturniczych żądań. Teraz księcia skazano na 2 i pół roku fortecy, za pół roku już go może uwolnią, tymczasem zaś pozwolono mu przyjechać do Europy. Zbrodniarz ten bawił sobie w Hamburgu, wydawał bale i chwalił się swym czynem, że roztrzaskawszy głowę tego murzyna prącikiem grzebał w jego drgającym jeszcze mózgu.

Wolimy więc raczej do współobywatelstwa z takimi panami się nie przyznawać.

Wojna Anglików z Boerami nieprędko się skończy, tembardziej, że Boerowie umieją nawet w obozie angielskim znajdywać szpiegów na swe usługi. W Durbanie stracono naprzykład szpiega, który był stróżem tamtejszej latarni morskiej i donosił do głównej kwatery boerskiej o liczbie i siłach nadpływających okrętów z wojskiem angielskiem.

Młodzież angielska tymczasem masami ucieka do Ameryki — obawiając się zaciągnięcia do wojska.

Szczególniejsze to rzuca światło na patryotyzm tej młodzieży! *K. O*



Fiat veritas — pereat vita.*)

Marzyłem dawniej o sławie,
Co skroń mi młodą uwieńczy,
Wierzyłem, że naród zbawię
Pieśnią, co w duszy mi dźwięczy.

Dzisiaj ja gonię w zapale
Za prawdy żywej promieniem,
Wierząc niezłomnie i stale,
Że ona ludów zbawieniem.

Ski.

*) Niech się stanie prawda, choćby miało zginąć życie.



PATER SANCTISSIMUS

LEO XIII

Cześć Ojcu świętemu!

Cześć Ojcu świętemu! Jak ziemia cała
Tak wszędy jedną nutą brzmią głosy —
Gdzie się chrześciańskwa cnota rozsiała,
Gdzie ewangelia prawdę podała
Tam modłów dzięki płyną w niebiosy.

Cześć Ojcu świętemu! On łzy ociera,
On leczy rany — uczy żyć w Bogu...
Jego dłoń szczęścia drogę otwiera,
Przed Jego światłem nicość zamiera,
On, Pasterz Wielki na ziemskim progu!

Cześć Ojcu świętemu! Co wszystkie ludy
I wszystkie warstwy w bratnie koło splata,
Rozumie biednych mozoły i trudy,
Miłością leczy bluźnierstw — zwątpień brudy,
I nowem życiem chce zmienić błąd świata.

2. 3. 1900.



Cześć Ojcu świętemu! O! z polskiej ziemi
Dziękczynnych modłów wciąż płynie nuta...
Bo my umiemy być zawsze wdzięcznymi,
Za błysk litości, gdy zgnębionymi
Pomiata ludzkość z uczuć wyzuta.

Cześć Ojcu świętemu!... Od Odry — Warty,
Od Gniezna, Gopła, Gdańska, Poznania...
Jak znak miłości wzniosły — otwarty,
Jak sztandar wiary hen rozpostarty,
Płynie hołd uczuć, czci i poddania.

O! Wielki Boże!... dodaj Swej Mocy,
Niech życia przędza snuje się trwale...
Leon Trzynasty, wśród zwątpień nocy,
Niech słowem depce błędy przemocy,
A światem rządzi w szczęściu i chwale!

J. S.

Ojciec święty Leon XIII.

W dniu 2-im marca b. r. Ojciec święty, Leon XIII, pełen blasku i chwały, wkroczył w 91-szy rok życia, a cały świat katolicki bierze szczery i serdeczny udział w tej niezwykłej uroczystości, wobec której niech wolno będzie i „Pracy“ złożyć najwyższy hołd dla „Księcia po nad książętami“, kierującego lepszą cząstką sił milionów ludzi, bo ***moralnemi*** *ich siłami. Z wyrazem zaś hołdu łączymy to głębokie, to najszczersze życzenie, ażeby Ojcu św. sędziwe lata płynęły bez trosk i trudności, któremi osobliwie pierwszy okres jego panowania był przepełniony; niech dalsze dni Leona XIII płyną w pokoju, niech blask Jego tiary rozprasza mgły i mroki umysłów i serc ludzkich, znikczemniałych pod władzą sił brutalnych, sił złota i żelaza, niech szlachetniejsze zasady chrześciańskie, których Ojciec św. Boskim jest stróżem, jeszcze pod Jego opiekuńczą ręką święcą ten tryumf, na który tyle uciemiężonych narodów dotąd daremnie czeka.*

Oto życzenia, które w wiekopomną, ***dziewięćdziesiątą pierwszą*** *rocznicę urodzin składamy u stóp Namiestnika Pana, życzenia, które niezawodnie są tylko wiernem echem gorących pragnień Jego serca, — życzenia, od których ziszczenia zależą losy ludzkości.*

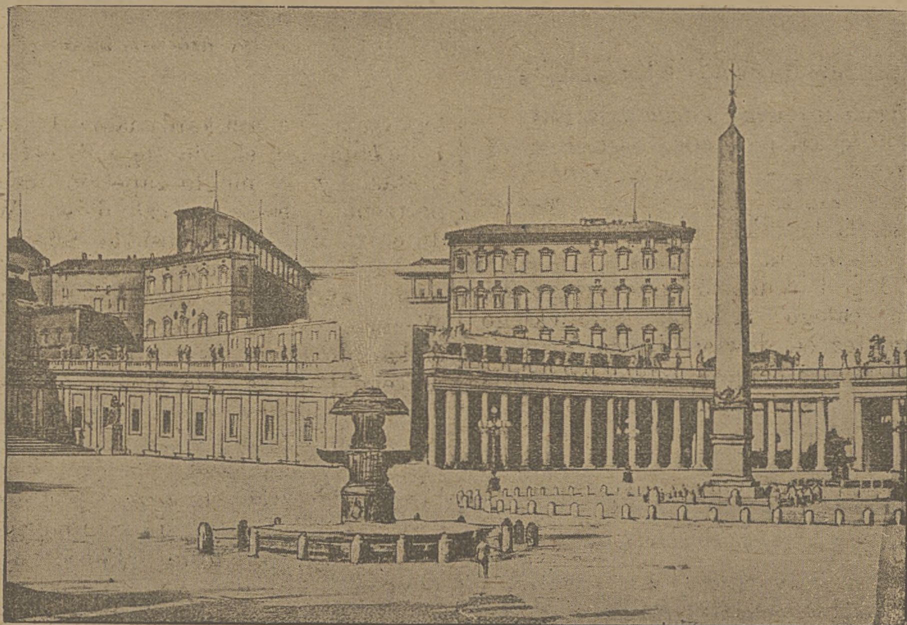
Redakcya „Pracy“.

Rok ubiegły 1899 obfitował w wydarzenia wydatnej doniosłości w rozlicznych dziedzinach życia; żaden jednakże wypadek nie sprawił tak głębokiego i tak powszechnego wrażenia, jak ciężka choroba papieża Leona XIII. Wielkie niebezpieczeństwo, jakie przebywał Ojciec Święty, poddając się operacyi chirurgicznej, w tak późnym wieku, oswoiło już cały świat katolicki z tą myślą, że doczesny żywot Głowy Kościoła lada chwila zagaśnie. Z dnia na dzień lękano się żałobnej wiadomości z Rzymu, obawy te jednak nie sprawdziły się, na szczęście. Ojciec Święty ku powszechnemu zdumieniu, powrócił do zdrowia, względnie do swego stanu i wieku, możliwie najlepszego, wstrząśnienie wszelako, jakiego serca wiernych doznały, nie minęło, a wzniosła posłać Leona XIII stała się wybitną aktualnością kroniki minionego roku.

Joachim Pecci, panujący obecnie pod nazwą Leona XIII. Papież, urodził się dnia 2 marca 1810 roku w Carpinettó; nauki pobierał w Collegium romanum, następnie zaś w Akademii kościelnej. W r. 1837 mianowany prałatem domowym papieża Grzegorza XVI i zarazem delegatem w Berencie, otrzymał następnie legacye w Spoletto i Perugii, potem arcybiskupstwo Damiety in partibus, w r. zaś 1843 został mianowany nuncyuszem w Brukseli. W r. 1853, już jako arcybiskup Perugii, zatwierdzony przez papieża Piusa IX w godności kardynała, pozostawał na tem stanowisku aż do r. 1876, poczem powołany do Rzymu, po śmierci Piusa IX, która nastąpiła w dniu 7 lutego 1878 r., sprawował tymczasowe rządy kościoła. W dniu 20 lutego tegoż roku wybrany jednomyślnie papieżem, a 3 marca uroczyście koronowany, panuje na Stolicy Apostolskiej już rok 23-i. Wybór Leona XIII cała Europa powitała radośnie. I rzeczywiście, chociaż teolog bezwzględny wierny zasadom papiestwa, na wstępie zaraz zaznaczył swoje przekonania co do konieczności przywrócenia papieżowi władzy świeckiej, jednak okazał się jednocześnie bardzo zręcznym dyplomatą w łagodzeniu wszelkich sporów, i zwolna stosunki kościoła z państwami doprowadził do możliwej harmonii. Pierwszą Jego czynnością w tym kierunku było przeprowadzenie pomyślne dla stron obu układów z Niemcami, o zniesienie ustaw majowych. Zaznaczając przodownictwo swoje w sprawach teologicznych, wydaje w r. 1879 encyklikę do biskupów, w której mówi o przywróceniu w szkołach katolickich filozofii chrześciańskiej, w duchu Świętego Tomasza z Akwinu; gwałtowne mowy duchowieństwa belgijskiego w listopadzie tegoż roku, potępia, a w kilka miesięcy potem wydaje encyklikę przeciw rozwodom. Niepodległość stolicy apostolskiej manifestuje po kilkakroć z energią. W październiku 1880 roku przyjmuje urzędników cywilnych dawnego rządu papieskiego, którzy odmówili złożenia królowi przysięgi. W następnym roku, przyjmując pielgrzymów słowiańskich w dniu Św. Cyrylla i Metodego, wygłosił mowę, z której wnioskowano, iż nie jest skłonnym do przyjęcia pod opiekę Watykanu rozmaitych obrządków słowiańskich, był to wszakże pogląd mylny, gdyż Leon XIII gorliwie bardzo pracował około sprawy zjednoczenia kościołów. Zbliżył się do Rosyi i Anglii, czem wywołał w biskupach irlandzkich wielkie niezadowolenie. W marcu 1883 roku chcąc zakończyć zatarg między związkiem helweckim a stolicą apostolską, przyłączył kanton genewski do Lausanny, biskupem zaś mianował Mermilloda, poprzedniego biskupa genewskiego. W lutym 1885 roku wystosował do cesarza chińskiego list z prośbą o opiekę nad misionarzami chrześcianami. W tymże roku w zatargu pomiędzy Niemcami i Hiszpanią o wyspy Karolińskie uproszony został na rozjemcę polubownego, czem podobno Bismark chciał zamaskować wrażenie, wywołane porażką kultur-



Bazylika św. Piotra i pałac watykański.



Pałac watykański ze strony placu św. Piotra.

kampfu, poznawszy naturalnie w Papieżu godnego siebie partnera. Fakt ten w świecie politycznym wywołał ogromne wrażenie, a Leon XIII po wydaniu wyroku, okazał Bismarkowi niebywałe względy, obdarzając go orderem Zbawiciela w brylantach, którego dotąd żaden protestant nie posiadał. Było to postąpienie w wysokim stopniu dyplomatyczne.

Zasługuje również na zaznaczenie stosunek Rzymu za panowania Leona XIII do Francyi. I tu uwydatnił się Jego takt, porzucił bowiem dawną politykę popierania monarchizmu, a zawarł stosunek przyjazny z rządem republikańskim, dając tem dobry przykład wielu zachowawcom, którzy interes kraju stawiają ponad interesem własnego stronnictwa. Żywioł ten utworzył w parlamencie nową partyę pod nazwą „pogodzonych z republiką konserwatystów“, która w znacznym stopniu przyczyniła się do osłabienia agitacyi pretendentów. Nic dziwnego, że rząd republikański, oceniając korzyści, wypływające z takiego stosunku, stara się go utrzymać jak najusilniej. Hiszpania również zawdzięcza Papieżowi powstrzymanie agitacyi karlistowskich.

I nie tylko Europę obejmuje poważny wpływ Leona XIII, lecz rozciągnął się na wszystkie niemal części świata. Stany Zjednoczone, Brazylia, Chiny, Japonia, Turcya i Persya starają się usilnie o Jego przyjaźń.

Papież dzisiejszy w szeregu Biskupów rzymskich jest postacią bardzo wydatną, w ciągu bowiem pontyfikatu swego okazał się nietylko najwyższym Pasterzem i Głową Kościoła Katolickiego, ale również myślicielem głębokim, odczuwającym prądy wieku, umiejącym utrzymać w harmonii naukę i religię, oraz wielkim politykiem, sprawiedliwym sędzią i rozjemcą ludów, a zarazem poetą. Utwory Jego, przeważnie łacińskie, treści religijnej noszą tytuł: *Leonis XIII Pont. Maximi Carmina collegit atque italice interpretatus est Jeremias Brunelius.*

Nie dziw więc, że z tronu Jego spływa mądrość, niosąca ludzkości otuchę i ukojenie. *St. S.*

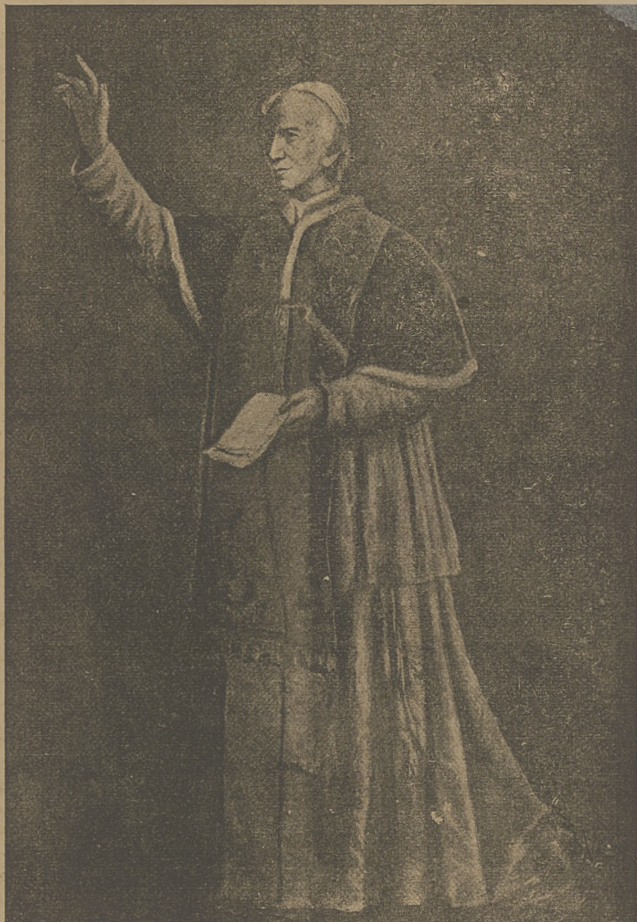
Hierarchia Kościoła katolickiego.

W tych dniach opuściła w Rzymie drukarnię książka w języku włoskim nosząca tytuł: *„La Gerarchia Cattolica“*, t. j. Hierarchia katolicka czyli urządzenie Kościoła katolickiego w roku minionym. Książka ta ogłoszona na obecny rok 1900 jest rodzajem urzędowego kalendarza całego Kościoła katolickiego i dlatego też od dawien dawna drukuje się corocznie. Obejmuje ona wiadomości o Papieżu i Jego najbliższem otoczeniu, o kaplicy papieskiej, administracyi Watykanu, o kongregacyach kościelnych, nuncyuszach i delegacyach apostolskich, arcybiskupach i biskupach całego świata katolickiego.

W tegorocznym roczniku Hierarchii katolickiej Leon XIII jest zaznaczony jako 365 Papież Kościoła katolickiego. Oznaczony On tu jest jak następuje: Biskup Rzymski. Zastępca Jezusa Chrystusa na ziemi, następca Księcia Apostołów, Najwyższy Biskup Kościoła powszechnego, Patryarcha Zachodu, prymas Włoch, arcybiskup i metropolita prowincyi rzymskiej, panujący nad doczesnemi posiadłościami św. rzymskiego Kościoła. Leon XIII urodził się 2 marca 1818 r. skończył zatem 2 marca 90 lat życia. Wybrany został Papieżem 20 lutego 1878 roku i dlatego w ubiegłą niedzielę rozpoczął 23 rok rządzenia Kościołem. Papież jest prefektem czyli przewodniczącym św. najwyższej Inkwizycyi rzymskiej, która to kongregacya czuwa zawsze nad przewrotnością heretyków; nadto jest prefektem nadzwyczajnym zakonów: Benedyktynów, Dominikanów i Braci Mniejszych św. Franciszka z Asyżu, którego to ostatniego zakonu Leon XIII jest tercyarzem.

Po Papieżu bezpośrednio idzie św. Kolegium Kardynałów. Obecnie św. Kolegium jest 34 kardynałów włoskich a 27 zagranicznych; 25 przebywa w Rzymie i każdy z nich ma powierzony urząd, a nadto zajęty jest pracą w trybunałach kościelnych. Reszta kardynałów bawi po za Rzymem w swych dyecezyach, któremi też jako biskupi rządzą, a od czasu do czasu muszą zajeżdżać do Rzymu.

Św. Kolegium składa się z 6 kardynałów-biskupów, którzy bawią wprawdzie w Rzymie, ale zarządzają równocześnie małemi dyecezyami znajdującemi się w okolicy Rzymu. Tymi kardynałami-biskupami są: Oreglia di S. Stefano, biskup Ostyi i Velletri; Parocchi, biskup Portu i św. Rufiny; Vannutelli Serafin, biskup Fraskati; Mocenni, biskup Sabiny; Mazzella, biskup Palestryny i Agliardi, biskup z Albano. Po nich idą kardynałowie-kapłani w liczbie 49, a nareszcie kardynałowie-dyakoni, których obecnie jest 5 a mianowicie: Macchi, Steinhuber, Segna, Pierotti i Vives y Tuto, a ci wszyscy rezydują w Rzymie, bo nie mają święceń biskupich, a więc nie mogą zarządzać dyecezyami. Najstarszy wiekiem jest ks. kardynał Canossa, biskup Werony, który liczy już 91 lat życia a 23 kardynalstwa; po nim następują: ks. kardynał Celesia, arcybiskup z Palermo na Sycylii mający 88 lat życia a 16 kardynalstwa i nasz hrabia kard. Mieczysław Ledóchowski, który liczy 78 lat a purpurę nosi już 25 rok.



Ojciec św. błogosławiący.

Nadto trzeba zaznaczyć, że jest 17 kardynałów w wieku od 70 do 80 lat; 28 od 60 do 70 lat, a 10 od 50 do 60 lat życia. Najmłodszymi zaś kardynałami są następujący: Vives-y-Tuto Hiszpan, z zakonu OO. Kapucynów, który liczy zaledwie 46 lat. Po nim następują: Svampa arcybiskup z Bolonii, który ma 49 lat; Richelmy arcybiskup z Turynu i Ferari arcybiskup z Medyolanu, którzy liczą po 50 lat. W roku 1899 umarło siedmiu kardynałów a mianowicie: Verga, Ferreiza, Bausa, Krementz, Connieu, Schönborn i Mertel, a w bieżącym roku już dwóch tj. Trombetta i Jacobini. Od wstąpienia zaś na tron papieski przez Leona XIII aż dotąd zmarło 131 kardynałów, a więc Leon XIII już przeszło dwa razy musiał obsadzić członkami św. Kolegium kardynałów.

Kolegium po śmierci kardynałów Trombetty i Jacobiniego, składa się z 61 członków, a ztąd, by się mogło zapełnić liczbą 70, potrzebuje jeszcze 9 członków. Względnie św. Kolegium posiada teraz tylko 59 kardynałów, gdyż dwaj są zamianowani, ale dotąd nieogłoszeni światu. W razie jednak śmierci Papieża mogą ci kardynałowie brać udział w wyborze nowego Papieża, ale muszą oni okazać dowody pisemne, przez które Papież zamianował ich kardynałami. W św. Kolegium zasiada jeszcze czterech kardynałów zamianowanych przez śp. Piusa IX a są nimi: Oreglio di Santo Stefano, dziekan św. Kolegium; Parocchi, poddziekan i kanclerz św. rzymskiego Kościoła; Ledóchowki, prefekt propagandy i Canossa, biskup Werony w prowincyi weneckiej, gdzie też mieszka. W całem

Po kardynałach porządkiem hierarchicznym idą patryarchowie, których w Kościele katolickim jest czternastu, a mianowicie 8 obrządku łacińskiego a 6 obrządku wschodniego.

Stolic biskupich na całym świecie katolickim jest 776, a z nich przypadają 52 na obrządek wschodni. Z 724 stolic biskupich obrządku łacińskiego 84 stolice zawisłe są wprost od Stolicy Apostolskiej, a reszta tj. 640 są sufraganiami to jest podległe są one stolicom arcybiskupim, których na całym świecie katolickim liczymy 193, a z nich 19 przypada na Kościół wschodni. Oprócz tego jest jeszcze 17 stolic biskupich, których zarządcy są zwykłymi prałatami z władzą prawie biskupią. A więc widzimy, że wszystkich dostojników kościelnych obrządku łacińskiego i greckiego jest

około 1070, a kierują oni trzodą Chrystusową dochodzącą do 300 milionów dusz. Co to za wielki postęp w Kościele katolickim. Św. Piotr, pierwszy zastępca Jezusa Chrystusa zostawił coś nad 500 tysięcy wiernych, a Leon XIII pasie trzodę Chrystusową złożoną z 300 milionów, a gdyby nie protestantyzm i schyzma, liczba katolików na całym świecie przeniosłaby dziś przeszło 500 milionów czyli pół miliarda dusz katolickich.

Za panowania Leona XIII w hierarchii katolickiej przybyły dwa patryarchaty i 13 stolic arcybiskupich, a nadto 18 stolic biskupich podniesiono do godności stolic arcybiskupich, a nareszcie utworzono 101 stolic biskupich nowych.



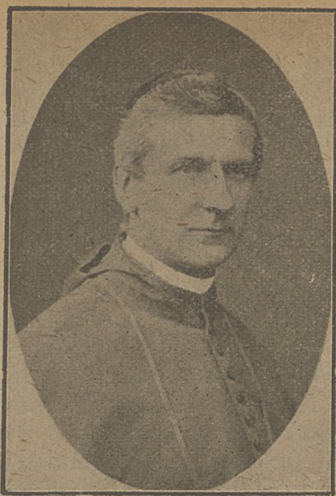
Kardynał Rampolla.

Oprócz tego Leon XIII utworzył 3 nowe delegacye apostolskie, 50 wikaryatów i 30 prefektur apostolskich a 11 prefektur podniósł do godności wikaryatów apostolskich. Na Europę przypada 614 stolic arcybiskupich i biskupich, a z liczby tej same Włochy mają 283 stolic biskupich. Po Włoszech na pierwszem miejscu stoi Francya z swemi 84 stolicami, na których siedzą dzielni biskupi, gotowi każdej chwili przelać krew za wiarę katolicką. Inne kraje szczupłą liczbę stolic biskupich posiadają, bo albo innowierstwo zajęło miejsce, albo też są bardzo obszerne dyecezye, jak n. p. na ziemiach dawnej Polski. Zbyt obszerne te dyecezye mają tę wielką niekorzyść, że biskupi nie mogą ich często osobiście zwiedzać, a ztąd też nie są w stanie złego wykorzeniać kąkolu, jaki nieprzyjaciel zasiewa ciągle pomiędzy pszenicą.

Katolik.

Watykan, kościół św. Piotra i watykańskie ogrody.

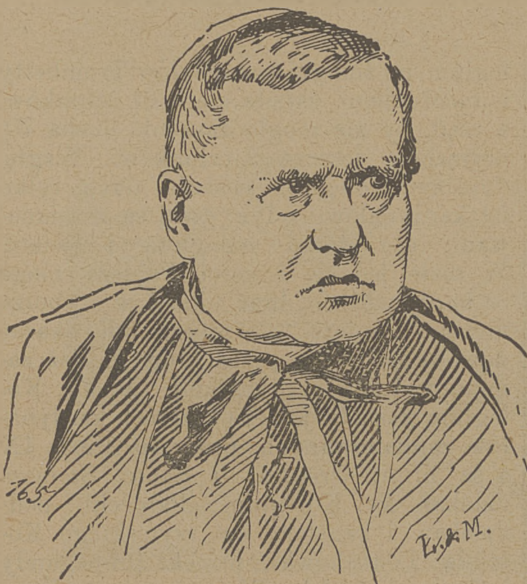
Watykan, rezydencya papiezka od r. 1377, t. j. od powrotu Papieża z Awignonu, leży na Monte Vaticano w Citta Leonina. Wspaniały gmach ten powstał już podobno na początku szóstego wieku, i nie tworzy dziś regularnie zbudowanego zamku, tylko cały zbiór budynków, obejmujący mniej więcej 28,000 metrów kwadratowych powierzchni. Olbrzymi kompleks w formie podłużnej ciągnie się w krzywym kierunku aż do kościoła św. Piotra i zawiera nie mniej, jak *11,000 pokoi, 20 dziedzińców i 200 schodów.* Wejście do Watykanu znajduje się na końcu prawej kolonady placu św. Piotra przez Portone di Bronzo, tam, gdzie stoi straż Szwajcarów. Ztąd idzie się wspaniałemi schodami (Scala Regia, Berniniego) do kaplicy sykstyńskiej, zbudowanej w r. 1473, obok której znajdują się Sala Regia, zbudowana przez Antonia da Sangello jun. w r. 1573 i ozdobiona pięknemi freskami i ornamentami, i kaplica Paulińska, dzieło tego samego mistrza, ozdobiona freskami Michała Anioła. Na drugiem piętrze leżą Stanze, są to cztery sale, które Rafael przepysznemi ozdobił freskami, z polecenia Juliusza II i Leona X-go (r. 1508—1520). Z tych sal wchodzi się do kaplicy San Lorenzo, zbudowanej przez Mikołaja V i do Loggii, które początkowo otwartym były korytarzem. — Sufit ich jest malowany przez Rafaela, 52 fresk z starego i nowego Testamentu. Sławny i kosztowny zbiór obrazów w Watykanie, dzieło Piusa VII, znajduje się na trzeciem piętrze. Do równie sławnego muzeum starożytności wiedzie inne wejście, koło chóru w kościele św. Piotra. Muzeum to obejmuje: museo Pio Clementino, museo Chiaramonti i Braccio Nuovo wraz z zbiorem starożytnych posągów (pomiędzy temi posąg Jowisza z Otricoli, śpiącą Ariadnę, Hermesa, grupę Laokoona, Apola Belwederskiego, Torso Herkulesa i t. d.), dalej Galleria Lapidaria (z napisami i nagrobkami), muzeum egipskie, etruskie (z wyrobami z bronzu, złota, z wazami i terrakotami) i watykańską bibliotekę, która pod względem ilości dzieł i rękopisów oraz ważności ich i rzadkości, największą jest w Europie. Syxtus II założył ją, później zaś powiększono ją biblioteką heidelberską i biblioteką Krystyny, królowej szwedzkiej. Zbiór ten obejmuje dzisiaj 220,000 tomów i 25000 manuskryptów. W Watykanie znajdują się nadto ogromne i wspaniałe sale audyencyjne, papiezka fabryka mozaiki, papiezka mennica i zbiór broni. Do pałacu przytykają ogrody watykańskie, w których 100 ludzi ciągle ma zajęcie i które są przepełnione najrzadszemi i najpiękniejszemi roślinami. Najwięcej podziwienia godnemi są rabaty z kwiatami w t. zw. ogrodach wewnętrznych, położonych pomiędzy Galleria della Biblioteca a Museo lapidario i Chiaramonti.



Kardynał hr. Ledóchowski.



Kardynał Swampa.



Kardynał Parochi.



Kardynał Vanutelli.

Sekretarz stanu kardynał Rampolla.

Obecny kardynał i sekretarz stanu Mariano Rampolla, marchese del Tindaro, urodził się 17 sierpnia r. 1843 w Polizzi na Sycylii i wychowany był w szkole szlacheckiej w Rzymie. Po wyświęceniu kapłańskiem powołał go Pius IX na pomocnika do sekretaryatu spraw kościelnych. W r. 1875 mianowano go radcą przy nuncyaturze w Madrycie, później zaś prałatem i sekretarzem propagandy. W r. 1880 powierzył mu Leon XIII urząd sekretarza w kongregacyi dla spraw kościelnych nadzwyczajnych. W r. 1882 mianowano go arcybiskupem w Heraklei in partibus infidelium i nuncyuszem w Madrycie, gdzie za jego staraniem zgotowało duchowieństwo hiszpańskie tak świetne przyjęcie późniejszemu cesarzowi Fryderykowi III. On też był pierwszym, który wskazał Papieża jako rozjemcę

w sprawie o wyspy Karoliny. W Hiszpanii umiał sobie zjednać szacunek i uznanie wszystkich partyi politycznych, mianowicie zaś cieszył się względami królowej regentki, wdowy Alfonsa. Papież Leon XIII mianował go 14 marca 1887 kardynałem i powołał go kilka miesięcy później na następcę Jacobini'ego. Cesarz Wilhelm II ofiarował mu w r. 1893 order czarnego orła.

Kościół św. Piotra w Rzymie.

Pomiędzy 350 kościołami w Rzymie zajmuje pierwsze miejsce sławna na cały świat bazylika św. Piotra, granicząca ze strony południowo-zachodniej z Watykanem. Świątynia ta została wybudowaną za panowania cesarza Konstantyna Wielkiego i to na prośbę Papieża Sylwestra I. Z strony północnej dotykała cyrku Nerona. Gdy po długich latach zaczęła się chylić ku upadkowi, postanowił Mikołaj V (r. 1452) odbudować ją na nowo, ale podług planu Bernardina Rosselina zabrano się najpierw do odbudowania chóru, dalszej zaś roboty zaniechano. Dopiero Papież Juliusz II zajął się znowu tą sprawą, kazał sobie przedłożyć rozmaite plany i wybrał plan Bramanta. (Grecki krzyż z wielką środkową kopułą.) W r. 1506. d. 18 kwietnia położono kamień węgielny. Po śmierci Bramanta w r. 1514 budowali kościół dalej: Raffael, Antonio da Sangallo młodszy i Peruzzi. W r. 1546 oddano budowlę Michałowi Aniołowi, który zajmował się tem aż do r. 1564, ale dopiero w r. 1590 ukończono wielką kopułę podług jego rysunku. Na życzenie Pawła V (1605) zmienił Maderna plan kościoła i dodał jeszcze masywną, 117 metr. szeroką, 50 metr. wysoką fasadę oraz wspaniały przedsionek. Dnia 18-go listopada r. 1626 poświęcił świątynię Papież Urban VIII. Koszta budowania wynosiły przeszło 120 milionów, utrzymanie zaś w porządku kosztowało rocznie 160,000 lirów (128,000 marek). Z przedsionka wiedzie 5 drzwi do wnętrza kościoła, środkowe drzwi zaś mają ozdoby z bronzu, pochodzące jeszcze z starej bazyliki, z r. 1445. Długość wewnętrzna kościoła wynosi 187 metrów, długość poprzeczna 137 metr., wysokość zaś kopuły 117 metr. Kopuła spoczywa na 4 ogromnych pięciokątnych kolumnach. W środku świątyni, pod kopułą, znajduje się wielki ołtarz, przed którym sam Papież tylko, albo inny duchowny, zaopatrzony w jego breve, mszą św. odprawiać może. Nad ołtarzem wznosi się 28 metr. wysokie tabernaculum Berniniego, w stylu barocco. Pod ołtarzem jest grób św. Piotra, otoczony 89 wiecznemi lampami i posąg Piusa VI, dłuta Canowy. Z przelicznych arcydzieł, znajdujących się w kościele tym, szczególniej wymienić należy: posąg z bronzu apostoła Piotra z 5 wieku, nagrobki Sykstusa IV i Innocenca VIII, dzieła Ant. Pollajuola, Klemensa VIII dłuta Canovy, Pawła III dłuta Wilhelma della Porta i Piusa VII, dzieło Thorwaldsena. Zakończenie kościoła tworzy niezbyt gustowna katedra Berniniego, otaczająca stary tron biskupi św. Piotra i kolosalne figury ojców kościoła. Oprócz tego znajdują się tam jeszcze kopie mozaikowe sławnych obrazów. W zakrystyi są tablice, malowane ręką Giotta i freski Melozza da Forli, w skarbcu zaś wspaniałe świeczniki Celliniego i t. zw. Dalmatika Karola Wielkiego, w którą ubierano cesarzy podczas koronacyi. W kryptcie pod kościołem (Grotta Vaticane) są nagrobki Papieży i liczne pomniki z starej świątyni.

Widok na Rzym z kopuły kościoła św. Piotra.

Z kopuły kościoła św. Piotra, a więc z wysokości 120 metr. wspaniały przedstawia się widok na wieczne miasto. Kto raz ztamtąd spojrzał na Rzym, ten w życiu nigdy o tem nie zapomni, i wtedy dopiero pojmie znaczenie miana „wieczne miasto“. Począwszy od wyniosłej architektury w stylu renaissance, od nieporównanie pięknych zabudowań leżącego na dole Watykanu, aż do zabytków 2000 letniej przeszłości, do forum Romanum klasycznej starożytności, ukazuje nam Rzym wszystko, co ręce ludzkie w tym czasie stworzyć potrafiły. U stóp naszych leży plac św. Piotra, z którego prosta droga wiedzie do grobu cesarza Hadriana. Tuż obok płynie Tybr. Dalej, na prawo widzimy część botanicznego ogrodu, naprzeciwko którego, po drugiej stronie Tybru, leży część modnego Rzymu. Na lewo widnieją drzewa parku, należącego do willi Borghese, na południe zaś Kwirynał, i w tej okolicy, zdala od wiecznej ciszy ogrodów watykańskich wre życie wielkomiejskie: tu słychać dzwonki kolei elektrycznych i świst lokomotywy. Na tych samych miejscach noszono przed 2000 lat lektyki senatorów rzymskich i pań wielkiego świata; cóżby powiedzieli dumni patrycyusze ówcześni, gdyby zobaczyli Rzym dzisiejszy! Zadziwiliby się pewnie tak samo na widok modnego miasta, jak my, gdy z kopuły św. Piotra rzucamy oczami duszy spojrzenie na dawno minioną przeszłość.....

Ulubione miejsce pobytu Papieża w watykańskim ogrodzie.

Papież Leon XIII, znawca i zwolennik wszyskiego, co piękne, wybrał sobie jednę z najpiękniejszych części ogrodu watykańskiego na ulubione miejsce pobytu. La Rotonda col Caffeaos e il Casino di Pio IV, tak się miejsce owe zowie — jest to niewielki trawnik, leżący w środku wspaniałego ogrodu. Tu dotąd każe się Papież nieść w swej lektyce, towarzyszy mu zaś siostrzeniec jego, dowódca straży papiezkiej. W chłodowym cieniu odwiecznych drzew, otoczony klasycznemi arcydziełami, w które ogród obfituje, tworzy Ojciec św. tutaj rozmaite ody, distychony itd. Ponieważ miejsce to nie jest zbyt oddalonem od pokoi Papieża, przeto może on, pomimo swego podeszłego wieku, przepędzać w ogrodzie kilka godzin dziennie. Podczas pobytu Ojca św. w ogrodzie, jest wstęp obcym naturalnie wzbronionym, zresztą bywa dla publiczności otwarty, tak samo, jak i Watykan wraz z wszystkiemi muzeami i arcydziełami.

Tekst do portretów.

Portrety nasze przedstawiają kardynałów hr. Ledóchowskiego, Swampę, Parochi'ego i Vanutelli'ego, którzy należą do ściślejszego collegium i przedstawiają właściwie ministeryum papiezkie. Kardynałowie ci zajmują wybitne stanowiska, cieszą się wielkiemi względami Papieża, a Parochi, Vanutelli i Swampa uchodzą obok wszechwładnego kardynała Rampolla za domniemywanych kandydatów na następcę Leona XIII. *P. M.*



PRZEGLĄD PRASY.

Parę tygodni temu parlament niemiecki był widownią ataków austryacko-śląskiego hakatysty, niejakiego Demla, przeciwko narodowości polskiej. Demel ów zapewniał, że to galicyjsko-polscy agitatorowie wszczynają walkę rasową z Niemcami na Szląsku i że lud szląski wcale nie pragnie upaństwowienia gimnazyum w Cieszynie. Z tego powodu odbyło się w Cieszynie zebranie ludu polskiego, które tak sympatycznie opisuje **„Gazeta Opolska:“**

„W ubiegłą uiedzielę Cieszyn zmienił swój wygląd. Zaroiło się od szarych ubrań robotniczych i kapot włościańskich. Przed Farnym kościołem i na rynku cieszyńskim, stały gromady włościan śląskich i robotników, rozmawiających wesoło i ogniście, a przedmiotem tych rozmów i radości był wiec ludu polskiego ze Szląska, na który przybyli ludzie hen z Jabłonkowa, z uroczych Besdików, z pod Białej, z okolic Ostrawy i Bogumina.

„Patryoci niemieccy cicho przesuwali się ulicami, patrząc z podełba na ten lud polski i cichym szeptem ganiąc dr. Demla za to, że swoją bezwzględną mową w parlamencie wywołał ten „polski krawal“.

„O godzinie 2-giej po południu lud zbitym szeregiem cisnął się do sali wiecowej. Wśród zebranych widać było i mieszczan cieszyńskich i pewną część inteligencyi.

„Wiec zagaił robotnik Łysek z Jabłonkowa, który stwierdziwszy, że w sali znajduje się tysiąc przeszło osób, podziękował zgromadzonym za współudział w wiecu i wyłuszczył przyczyny, które go spowodowały. — Obowiązkiem naszym — mówił pan Łysek — jest zaprotestować czynem i udowodnić, że nieprawdą jest, co dr. Demel twierdził w parlamencie, jakoby żądanie upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie i poszanowania praw narodowych naszych było tylko wpływem podburzań „agitatorów galicyjskich“. Lud polski na Szląsku czuje się w głębi serca polskim i dziś daje tego dowód. W dalszym toku mówca przedstawił na przewodniczącego robotnika Jerzego Ciencialę z Końskiej Woli, który — powoławszy na zastępców swoich posłów Kubika i Ciencialę, przystąpił do drugiego punktu porządku dziennego, tj. do omówienia potrzeby gimnazyum polskiej na Szląsku.“

Z prawdziwem zadowoleniem spostrzegamy z tego sprawozdania, że nietylko na pruskim, ale i na austryackim Szląsku lud polski ochoczo się garnie pod sztandar narodowy. Ruchu tego nie

zdołają powstrzymać żadne deklamacye Demlów przeciw agitatorom galicyjskim, tak, jak nie powstrzymają go też żadne mowy junkrów pruskich i pruskich ministrów przeciw agitatorom wielkopolskim. Ruch ten — jak ruch żywiołu powstrzymać się nie da — bo to jest ocknienie, przebudzenie się ludu szląskiego z wiekowego snu — do pracy narodowej.

Nic w taką wściekłość zresztą nie wprawia Prusaków, jak to, że między Polakami wzmaga się gospodarność.

Berlińska „Post" trąbi na alarm, że ekonomiczne spotężnienie polonizmu zagraża Niemcom:

„Dawno minęły czasy, kiedy to można było mówić o „polnische Wirtschaft." Dzisiaj Polacy poprostu opływają w pieniądze. Powstają polskie składy, polskie gospody; dobra i stare interesy, które zdawna były podupadły, rozkwitają na nowo, dzięki obcemu kapitałowi; powstają nowe przedsiębiorstwa przemysłowe, a zakładają je ludzie, uchodzący za całkiem niemajętnych. Wszędzie czuć pomocną rękę wielkiego, silnego w kapitały zespolenia."

Nie starając się wcale tych twierdzeń poprzeć jakiemiśkolwiek dowodami, „Post" rzuca się z wściekłością na notoryczny objaw, że z wędrówek po Niemczech, Polacy przynoszą pieniądze zaoszczędzone do kraju i rada by w jakiś sposób położyć tamę tym oszczędnościom.

Biedne, z trudnością uciułane na obczyźnie grosze polskich wychodźców! — czyście się mogły domyśleć, że wam specyalny artykuł „Post" poświęci? Pisze ona dalej:

„I skądże pochodzi to mnóstwo funduszów polskich? Jednem ze źródeł bogactwa polskiego są wkładki, jakie od zagranicznych robotników polskich gromadzą się w niezliczonych bankach polskich. Wychodzący w pewnych porach roku do Niemiec robotnicy polscy przynoszą po 200 do 400 marek do domu, które, przeważnie za namową księży polskich, składają w owych bankach, te banki zaś dostarczają chcącemu coś przedsiębrać Polakowi, wszelkich sum, w czem nie jakieś zasady kupieckie, ale czysto narodowe interesy kierują. Jak wysokie mogą być owe sumy, które polscy robotnicy u niemieckich pracodawców zarabiają, tego niestety stwierdzić nie można. Ale można sobie zrobić wyobrażenie, jeżeli weźmiemy na uwagę, że np. z końcem zeszłego roku, według „Ostmark" (głównego organu hakatystów; p. r.) robotnicy, którzy z końcem zeszłego roku z Prus na Kalisz wrócili do domu, przeszło 85,000 marek w rosyjskim banku państwowym na pieniądze rosyjskie wymienili, a więc taki zarobek w gotówce ze sobą do domu zabrali."

Szał antypolski widocznie tak opanował umysły hakatystów, że nie widzą oni wcale faktu, **że narodowość polska, pomimo najgorszych zewnętrznych warunków bytu dość ma zasobów sił, aby istnieć dalej.**

Ta narodowość żyje i w Galicyi, gdzie jest samorząd, i w Królestwie, gdzie tylko prawa wyjątkowe rządzą, i w Księstwie, gdzie era dziurawej konstytucyi dla nas panuje. Narodowość nasza jest wyższą i potężniejszą nad wszelkie pomysły wynarodowienia — bo ona wyobraża ciągłość wiekową, której lada minister ciętą mówką, lub lada pismak hakatystyczny ciętym artykułem nie przetnie.

Z „**Katolika**" bytomskiego dowiadujemy się, że właściciele tamtejszych domów zostali wielce poszkodowani przez podkopy uczynione po kopalnich węgla. O szczególniejszej tej sprawie pisze wspomniane pismo:

„Niektórzy członkowie tutejszego towarzystwa posiedzicieli domów zostali poszkodowani przez to, że kopalnia wybrała węgiel pod ich domami, które w ten sposób tracą na swej wartości. Członkowie ci mieli na tych domach zaciągniętą pożyczkę z banku hipotecznego z Szczecina. Z powodu, że domy uszkodzone straciły nieco na swej wartości, bank ten był uprawniony, według swych statutów, do zażądania natychmiastowego zwrotu pożyczki hipotycznej, bez poprzedniego wypowiedzenia, i rzeczywiście też zwrotu pożyczek zażądał. Ale dłużnicy nie byli w stanie długów zapłacić. Bank więc podał domy na subhastę. Dłużnicy, którzy po wiekszej części byli górnikami, nie byliby mogli wykupić swych domów, gdyż nie mieli tyle pieniędzy, przeto im nic innego nie pozostało, jak zaskarzyć fiskusa, do którego kopalnia należała, o wypłacenie im trochę odszkodowania. Po tych i innych zabiegach przywołano nareszcie dyrektora banku szczecińskiego i ten załatwił, pono dość pomyślnie, sprawy dłużników według ich życzenia."

Co prawda, o ile nas nie zawodzi proste poczucie prawa, to fiskus wcale nie był uprawniony do czynienia podkopów, a jeśli straty z tego wynikły, to on je obywatelom powrócić winien. Dziwiłoby nas, gdyby sprawa tak zasadnicza w ręce adwokata nie była oddana.

W ważnej sprawie umieszcza „**Wielkopolanin**" korespondencyą z miasta:

„Po wielu małych miastach i wielkich wsiach lud polski otrzymuje nakazy od gorliwych urzędników pruskich, by kupcy i przemysłowcy napisy na godłach pozamieniali z polskich na niemieckie. Jest to bezprawie! Lud polski lękliwy, aż nadto, czyni zadość tym żądaniom, nie mającym żadnej słuszności i zamienienia Wawrzyn na Lorenz, Wojciech na Adalbert; także w urzędach stanu cywilnego tak imiona bywają wpisywane w dokumenty. W sądach tak samo się dzieje — a przecież istnieje wyraźne rozporządzenie władz najwyższych niedozwalające urzędnikom samowolnej zmiany, bez przyzwolenia właściciela, lub osoby interesowanej. Przejeżdzając przez Kębłowo, Kiebel przezwane, a nie dawno z miasteczka na wieś zamienione, widziałem sam kilka firm polskich po niemiecku wypisanych. Nie mogłem tam popasać, więc nie dowiedziałem się, czy właściciele sami ze strachu zmienili, czy im jaki zbyt gorliwy urzędnik to nakazał? Tak samo dzieje się podobno w Kępnie, w Gostyniu i innych miastach. Prawda, że urzędnicy wielki pokątny wpływ wywierać mogą, — ale przecież istnieją u nas jeszcze prawa, na których się oprzeć możemy i żądać tego, co nam słusznie się należy".

Żądajmy zawsze i wszędzie tego, co nam słusznie się należy na mocy prawa i konstytucyi, żądajmy tego na drodze legalnej, a przysłużymy się najlepiej naszej sprawie. *B. M.*



Korespondencya z Galicyi.

Wiosna powoli zaczyna u nas już wchodzić w swe prawa — a wśród objawów, które ją zwiastują, na pierwszem miejscu postawić należy z wielu względów godne pożałowania wędrówki masowe robotników rolnych. Lud tu jest tak ubogi, że dla niego wychodźtwo na sezon do Poznańskiego, do Saksonii, lub na Slązk jest ostatnią deską ratunku. Wy — w Poznańskiem — macie przynajmniej to za sobą, że z czystem sumieniem powstrzymywać możecie lud od wychodźtwa, ponieważ zarówno na roli, jak i poniekąd już w przemyśle, można znaleść pracę, ale w Galicyi jest inaczej: w Galicyi przy mało intenzywnem gospodarstwie rolnem — praca trwa krótko, a właściciele płacą mało, jak czasem, po 50 ct. na dzień. Cóż ma począć lud w tych warunkach? Co mu doradzić? Czem że się ma używić w kraju?

Niepotrzebna do tego żadna filozofia, aby rozpoznać przyczyny tych masowych wędrówek z Galicyi, które rok rocznie odrywają od pnia macierzystego liczne tysiące ludzi. Przyczyny te, to nizka płaca, krótki czas zarobkowania i brak przemysłu domowego, a względnie brak jakiegokolwiek innego sposobu zarobku. Jasnem jest, że skoro wychodźtwo na gruncie tych złych warunków się rozwija, lekarstwa na nie szukać nie można gdzieindziej, jak tylko w ich zakresie.

Niestety, wszystkie trzy powyżej wskazane przyczyny zbyt silnie są powiązane z całym ustrojem ekonomicznym, aby na ich ukształtowanie wpłynąć było można zapomocą jakiejś administracyjno-policyjnej reformy, czy też ustawodawczych postanowień. Ani przepisem policyi, ani uchwałą sejmu nie można stworzyć przemysłu zarobkowania. Do celu tego dążyć można jedynie przez świadome działanie ogółu.

Niejednokrotnie i trafnie już zauważono, że gdyby właściciele ziemscy konsekwentnie dążyli do prowadzenia bardziej intenzywnego gospodarstwa, tem samem dali by robotnikom rolnym możność zarobkowania w okresie znacznie dłuższym, niż to się dzieje obecnie, a przez to zachęciliby ich do pozostania w kraju. Tymczasem niejeden zamiast rozważyć, że wychodźcy nie dla przyjemności wędrują po obcych krajach, piorunuje na „włóczęgostwo", dzięki któremu rolnictwo upada, a przynajmniej jest zagrożone. Niech się znajdzie więcej pracy, a raczej praca w dłuższym okresie, a znajdą się i robotnicy.

Dalszym postulatem byłoby odpowiednie uregulowanie stosunków prawnych pomiędzy właścicielem ziemskim a robotnikiem. Celem tego uregulowania powinno być wzajemne związanie się, pod pewnemi nieprzewidzianemi w kontrakcie warunkami, na cały sezon. Prawodawstwo odnośne, istniejące w Prusach, mogłoby posłużyć za wzór.

Następnie należałoby, zarówno w interesie pracodawców jak i robotników, utworzyć pewną organizacyą pośrednictwa pracy. Organizacya ta działałaby w interesie pracodawcy, zapewniając mu w razie potrzeby potrzebną ilość sił roboczych; niemniej zaś działałaby i w interesie robotników, ochraniając ich od wyzysku ze strony mających tylko własną korzyść na oku ajentów.

Z drugiej strony nie należy zaniedbywać pracy nad rozwojem drobnego (domowego) przemysłu. Wprawdzie, sądząc z dotychczasowych prób na tem polu, Galicyi brak na tem polu, najważniejszej pono rzeczy — bo organizacyi handlowej i przedsiębiorców, którzyby na własny rachunek prowadzili handel wyrobami tego przemysłu, i te jednak próby, które Galicya wskazuje, w niektórych gałęziach do poważnych wyników doprowadziły, n. p. fabrykacya haftów, dywanów. a wreszcie przemysł szewski. W Czechach rozwinął się przemysł konfekcyjny i tamtejsze chłopki szyją bieliznę i rękawiczki dla odbiorców hurtownych, którzy się zorganizowaniem tego handlu zajęli.

Nie uciekając się jednak do przemysłu drobnego, rolnictwo samo do pewnego stopnia znaleść może środek zatrzymania robotnika w kraju i dania mu możności zatrudnienia w zimie.

Niektórzy ziemianie w Królestwie Polskiem uciekają się do tego sposobu zatrzymania robotników sezonowych, że dla każdego co rok na książeczkę kasy oszczędności składają po 3—4 ruble, a po siedmiu latach pracy w sezonie u tego samego właściciela, robotnik staje się posiadaczem złożonego na książeczce kapitału.

Lepiej poradzili sobie właściciele ziemscy w Brunświku — lepiej ze względów społecznych: starają się oni przywiązać robotników do tego samego majątku w ten sposób, że dają im na własność domek z kawałeczkiem gruntu, ma się rozumieć pod pewnemi zastrzeżeniami co do czasu, po upływie którego robotnik rolny staje się faktycznym posiadaczem gruntu, jedynym zaś warunkiem ze strony właściciela ziemskiego jest to, aby robotnik, osiedlający się, zobowiązał się do odrobienia pewnej ilości dni (za wynagrodzeniem) w czasie sezonu. Jest to swego rodzaju pańszczyzna, bezwątpienia, godzi ona jednak dobrze interesy stron obydwóch.

Pozostaje wreszcie do nadmienienia, że przeciwko wychodźtwu jedno należałoby zrobić ograniczenie administracyjno - policyjne, a mianowicie zakazać wychodźtwa małoletnim. W ostatnich czasach zdarzały się wypadki, że jeszcze dzieci prawie chciały iść na wędrówkę na „Sachsy“, to zaś w rezultacie najniekorzystniej odbija się na całym ustroju gminnym. Należałoby położyć kres mnożącym się coraz bardziej wypadkom, że wychodzi z kraju młodzież, obowiązana jeszcze do uczęszczania na naukę dopełniającą.

K. R.



Jubileusz wszechnicy krakowskiej.

Uniwersytet krakowski obchodzi, jak wiadomo, w r. b. pięćsetną rocznicę swego założenia. Początki uniwersytetu sięgają wprawdzie roku 1364, kiedy powstała szkoła Kazimirzowska, jedna z pierwszych w Europie wschodniej, zaraz po Pradze (1347 r.), a przed Wiedniem (1365 r.) Fundacya jednak Kazimierza Wielkiego nie zdołała rozwinąć się należycie. Rocznicę w r. 1864 obchodzono tylko nabożeństwem i wydaniem książki pamiątkowej.

Ponowna fundacya i reforma uniwersytetu, dokonana w r. 1400 przez Władysława Jagiełłę za wpływem królowej Jadwigi, tchnęła dopiero w uniwersytet życie i żywotność. Reforma ta była takim przełomem w polskiem życiu duchowem i w dziejach oświaty polskiej, że słusznie datę jej uważać można za *dies natalis* wszechnicy krakowskiej.

Wślad za innemi uniwersytetami, za Edynburgiem (300-letni jubileusz w roku 1883), za Heidelbergiem (500-letni jubileusz w r. 1886), za Bolonią (800-letni — w r. 1888), za Montpellier (600-letni — w r. 1889), za Hallą (200-letni — w roku 1894), za Akademią medyczną w Petersburgu (100-letni — w r. 1898) — także i uniwersytet krakowski wystąpi w blasku pół tysiąca lat pracy i zasługi. Przygotowania są czynione od dłuższego czasu. Już przed czterema laty zawiązał się bardzo energiczny komitet wydawniczy, którego przewodniczącym jest prof. K. Morawski, a najczynniejszym członkiem prof. Ulanowski. Przygotowaniami do obchodu kieruje komitet jubileuszowy, podzielony na liczne sekcye. Na czele stoi prof. St. Smolka.

Program uroczystości, skreślony zaledwie w zarysach ogólnych, w szczegółach nie jest jeszcze ustalony. Ograniczy się on przeważnie do jednego dnia: 7 czerwca, czwartek po Zielonych Świętach. Około tego kulminacyjnego momentu skupią się dopiero liczne zjazdy naukowe, które z obchodem się połączą. W przeddzień uroczystości da miasto wielki raut w Sukiennicach, na którym nastąpi poznanie się ze spodziewanymi gośćmi z kraju i zagranicy. Miasto tak ściśle złączone z dziejami i losami uniwersytetu, ofiaruje nadto adres i wmuruje tablicę pamiątkową z opowiednim napisem w gmachu Biblioteki jagielońskiej. Dzień obchodu rozpocznie się nabożeństwem, odprawionem z wielką okazałością na Wawelu — o ile na to pozwoli w toku będąca restauracya katedry. Pochód profesorów i uczestników wyruszy na zamek prawdopodobnie z *Collegium novum*. Główny akt uroczystości, złożony z przemów oraz wręczenia około 60 dyplomów honorowych, odbędzie się, za pozwoleniem władzy duchownej, w kościele św. Anny, który od czasów króla Jagiełły, bo od r. 1418, jest kościołem kollacyi uniwersyteckiej. Spoczywa w nim nadto patron wszechnicy, św. Jan Kanty.

Po akcie honorowych promocyj nastąpi odsłonięcie w dziedzińcu Biblioteki jagielońskiej pomnika Kopernika, dłuta Cypryana Godebskiego. W godzinach popołudniowych wielka uczta zgromadzi kilkuset miejscowych i zamiejscowych przedstawicieli nauki. Zakończy dzień przedstawienie galowe w teatrze. Program jego nie jest jeszcze ostatecznie ułożony.

Obok profesorów najpoczestniejsze miejsce zajmie naturalnie w obchodzie młodzież, która utworzyła osobny komitet, będący w stałem porozumieniu z komitetem profesorów. Młodzież — o ile z dotychczasowych narad jest widocznem — wyda zapewne „Książkę pamiątkową“ z naukowemi i literackiemi pracami, nadto odegra może w teatrze „Odprawę posłów greckich“ Kochanowskiego, a na wielkim komersie ugości studentów, przybyłych z innych uniwersytetów. W obchodzie wezmą również udział doktorzy uniwersytetu krakowskiego, których obecnie jest około dwóch tysięcy.

Tyle na dziś kronikarskiej wiadomości, dającej wszelakoż już wyobrażenie, że uroczystości nie zabraknie powagi, dostojeństwa i blasku. Poświęcić jej też nie omieszkamy odpowiednie w „Pracy“ miejsce, odtwarzając i upamiętniając obchód niepowszedni słowem i illustracyami.

B.



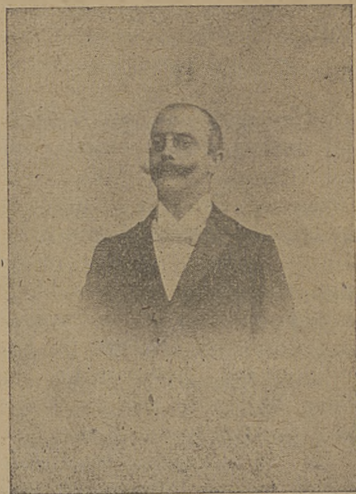
Wycieczka do Łodzi.

Sprawozdanie umyślnego korespondenta „Pracy“.

I.



W ciągu ostatnich lat dziesięciu niemal wszyscy dziennikarze polscy — przynajmniej warszawscy i galicyjscy — uważali sobie za obowiązek odwiedzić Łódź i napisać o niej „garstkę wrażeń osobistych“. Wrażenia były raz trafne, raz mniej dokładne, ale wszystkie niemal bez wyjątku nosiły trochę zabawną cechę: oto sprawozdawcy pisali o Łodzi w takim tonie, jak gdyby odkrywali conajmniej jakiś zakątek Ameryki podbiegunowej... Jeszcze w roku bieżącym, w styczniu, pewien bardzo zresztą utalentowany publicysta warszawski, po kil-



Dr. prawa Napoleon Hailliant.

kudniowych po Łodzi peregrynacyach, puścił w popularnym organie szereg feljetonów p. t. „Znasz-li ten kraj?“... Czyż może być tytuł niewłaściwszy?... Łódź leży w samem sercu ziemi polskiej, jest pierwszem po Warszawie miastem polskiem pod względem zaludnienia, piątem miastem wielkomiejskiem w państwie rosyjskiem alboż więc nie zasługuje, żeby mówiono i pisano o niej częściej, niż dotąd w naszych poważnych pismach codziennych, przepełnionych wielkoświatową polityką?...

* * *

W ostatnich czasach conajmniej potroiła się w Łodzi ilość inteligencyi polskiej, wskutek czego kupiec inteligentny, a zwłaszcza zdolny przemysłowiec rodak — śmiało może sięgnąć po kawałek chleba w tym polskim Manchestrze. — Zwiedziłem w mem życiu przeróżne miasta i przeróżne okolice nietylko Królestwa, lecz niemal całej Rosyi. Byłem w ko-

losalnej Moskwie kupieckiej, byłem na żywiołowo hucznym i jak mrowisko ruchliwym jarmarku wschodnim w Niżnim-Nowgorodzie, byłem w olbrzymich śpichrzach Charkowa, w różnojęzycznym wszechświatowym porcie odeskim, na bezbrzeżnych stepach kozackich, zadnieprzańskich i donieckich i w ich młodej stolicy, Jekaterynosławiu, nowem ognisku wielkiego przemysłu... I oto, po latach długich nieobecności, przybyłem także do Łodzi.

Można być najpesymistyczniej usposobionym do wszystkiego co swojskie, a jednak przed Łodzią złożyć pokłon uznania. Na każdego, co chce i umie patrzeć, robi ona wrażenie ogniska, w którem ciężka praca nie jest przymusem, ale potrzebą. Wre w Łodzi życie, tumult, ruch, nie ten powierzchowny i elegancki, jak w Warszawie lub Berlinie, ale ruch, który się niemal w oczach procentuje i zdaje przysparzać dobrobyt. Przy porównaniu ze wszystkiemi najwybitniejszemi centrami przemysłu nietylko w Królestwie polskiem, ale i w Rosyi, — Łódź nietylko nie traci, ale zyskuje. Jest dziś stosunkowo lepiej urządzoną, aniżeli Moskwa, więcej europejską niż Charków, pracowitszą i inteligentniejszą od Odesy, zaś przemysłowo więcej skupioną i potężniejszą niż Jekaterynosław, z jego całą krainą żelaza. Dość przytoczyć cyfry, że obroty banków łódzkich dosięgają 1,500 milionów rubli rocznie, zaś suma samej tylko tkackiej produkcyi rocznej przekracza 100 milionów rubli.

II.

Cudzoziemszczyzna w Łodzi?... Ale gdzie jej dziś niema! Odesa cała jest zlepkiem narodowości: Grecy, Niemcy, Włosi, Francuzi, Bułgarzy, a przedewszystkiem żydzi, ci odgrywają tam role pierwszorzędne, a jednak miasto naogół jest tak samo rosyjskie, jak Łódź polskie. W Jekaterynosławiu i na stepach donieckich dominują Belgowie, Francuzi, Niemcy i żydzi; historyczne Zaporoże usiane jest koloniami Holendrów i mnemonitów; po drodze z Kamieńca-podolskiego do Płoskirowa zajeżdżałem do Dunajowiec, osady fabrycznej, wyłącznie przez Niemców i Czechów zamieszkałej, a posiadającej kilkanaście fabryk tkackich, bardzo poważne robiących obroty; w Charkowie we wszystkich prawie fabrykach łatwiej się rozmówić po niemiecku, aniżeli po rosyjsku... Na sławnym jarmarku w Niżnim-Nowogorodzie spotyka się równie dużo typowych kupców wielkorosyjskich, jak: Tatarów, Persów, Finnów, Niemców, Ormian i t. d. Wszyscy ci cudzoziemcy mówią wielce łamaną ruszczyzną. Nawet w Moskwie, np. na ulicy Miasnickiej lub Łubiance, cudzoziemcy zagarnęli cały przemysł i handel techniczny; mają swoją restauracyę, swoje hotele, swoje „bier-halle“, swoją nawet gazetkę („Moskauer Zeitung“), żyją nadto całkiem odosobnieni, w swojem



Stanisław Herzberg.

kółku, i mówią zawsze i wszędzie ojczystym językiem... Ba!... a w patryarchalnoszlacheckiej Twerze, cichej i głuchej?... Kiedy nastanie niedziela i święto, to i tam w miejscach publicznych słychać dookoła — język angielski, którym mówią majstrowie i robotnicy kolosalnej „Twerskiej manufaktury“ Morozowa... Jak tedy widzimy, pod względem cudzoziemszczyzny nie jest Łódź odosobniona i nie jest pod tym względem jakiemś miastem wyjątkowem.

* * *

Ponieważ celem mojego przyjazdu do Łodzi nie było przypatrzenie się stosunkom narodowościowym, lecz właśnie badanie tamtejszych warunków ekonomicznych, przeto nim przystąpię do szczegółowego opisu samego miasta, wspomnę nasamprzód o zamożnym rozwoju tegoż.

W ostatnim dziesiątku lat przemysł i handel Królestwa Polskiego ogromnie się rozwinął i nowe fabryki powstawały i powstają ciągle, liczne drogi żelazne zostały wybudowane, banków powstało kilkanaście, a drobnych kredytowych instytucyi trudno nawet zliczyć. — Nie podlega jednak wątpliwości, że prawdziwa potrzeba je stworzyła.

Łódź nie pozostała w tyle po za innemi miastami: w ostatnich latach powstało w tem mieście kilka nowych wielkich fabryk, że wspomnę tylko o wielkiej fabryce nici do szycia, założonej kapitałem akcyjnym 2 milionów rubli, kilka starych fabryk powiększyło znacznie swoją produkcyę, przechodząc na własność Towarzystw akcyjn., założony został Bank Kupiecki, Towarzystwo Wzajemnego Kredytu, Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe itd.

Jedna z najpoważniejszych instytucyi jednak, która w zeszłym roku dopiero oficyalną swą działalność rozpoczęła, a wielkie nadzieje na przyszłość podaje — nosi miano: *„Łódzkie Towarzystwo składów Towarowych, ubezpieczeń towarów z wydaniem warrantów.“*

Ponieważ zadania tego Towarzystwa są donioślejszego znaczenia, niż zwykłych instytucyi kredytowych, a w Królestwie jest to dopiero pierwsza próba racyonalnego wyzyskania przywilejów, przysługujących składom towarowym, na zasadzie prawa rosyjskiego z roku 1889, uważamy przeto za stosowne poświęcić obszerniejszą wzmiankę temu bankowi.

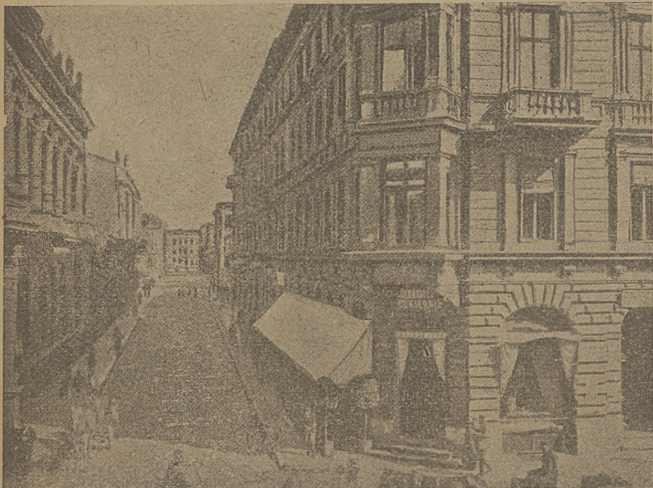
Już przed trzema laty wybitniejsi obywatele Łodzi, a mianowicie pp. Bernard Słomnicki i Stanisław Hertzberg powzięli zamiar wybudowania składów w bliskości stacyi drogi żelaznej, mających służyć do przechowywania towarów. Prawdopodobnie idea ich byłaby urzeczywistnioną w skromnych zarysach, gdyby się nie był przyłączył do nich równie dzielny, jak pomysłowy — pan mecenas doktor praw Napoleon Hailliant, mieszkaniec miasta Bydgoszczy.

Uznawszy projekt pp. Słomnickiego i Hertzberga za rzeczywiście zasługujący na poparcie, p. dr. Hailliant ze znaną energią i umiejętnością ujął w swoje ręce rozwinięcie projektu na szerszą skalę.

Pozyskany został dla wspólnej sprawy pan baron Juliusz Heinzel, znany łódzki fabrykant i milioner. Konsorcyum złożone z pp. dr. Haillianta, barona Heinzla, Hertzberga i Słomickiego, wypracowawszy ustawę przyszłego Towarzystwa akcyjnego składów towarowych — zwróciło się do sfer rządzących z prośbą o koncesyę na utworzenie tej instytucyi.

W celu bliższego uzasadnienia dołączono rozprawę mec. dr. Haillianta, zawierającą obszerny referat o znaczeniu zaprojektowanej instytucyi dla handlu i przemysłu krajowego i międzynarodowego.

Nie łatwa to sprawa, szczególnie w państwie Rosyjskiem, uzyskanie koncesyi na nowe przedsiębiorstwo, mianowicie takie, któremu nadawane bywają jakieś specyalne przywileje. — Po zasięgnięciu opinii wszystkich ministrów, których dana instytucya obchodzić może, jak w tym wypadku ministrów spraw



Ulica Mayera w Łodzi.



Ulica Piotrkowska w Łodzi.

Strony od 253—260 obejmują dział powieściowy i umieszczone są na końcu niniejszego numeru „Pracy“.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

X.

Owóż w historycznej sali pana markiza, spostrzegamy jakby ton fałszywy, tę samą niedecyzyę w spojrzeniu zgromadzonych, tak mocno brzydzącą wyraz powszechny, serdeczny i szlachetny. Spojrzenia zgromadzonych biegają po sali z niepewnością. Zdaje się, że się wahają te spojrzenia, na kim mają ostatecznie spocząć. I wpatrzywszy się uważniej, spojrzenia te głównie w trzy zwracają się kierunki.

Każdy z tych kierunków był zwrócony na jednego z trzech członków zgromadzenia, którzy zdawali się być głównymi przywódzcami tej narady obywatelskiej. Byli to: markiz, jego syn, i nasz stary rotmistrz. Bo jak to się dzieje zwykle przy podobnych naradach, utworzyły się trzy stronnictwa niejako. Było to jeszcze bardzo szczęśliwie, bo ileż to zjazdów odbywało się nieraz u nas, na których wedle u nas smutnego obyczaju, a za przysłowiem idąc: co głowa to rozum, tyle było stronnictw, ile głów zgromadzonych. To też choć się zgromadzeni mięszali razem chwilami, potworzyły się już gronka. Najliczniejsze kupiło się w koło markiza, ku niemu zwracając oczy swoje.

Mniejszego nieco grona ogniskiem był kamerjunker były. Widać w nim było młodsze pokolenie obywatelskie. W tem gronie przeważać się zdawał prawdziwy czy tylko chwilowy zapał, objawiający się żywszemi ruchami i gęstszemi minami. I przewodnik tego grona odznaczał się i głosem donośniejszym i stanowczością i dosadniejszą wymową, podczas gdy markiz przeważał widoczną pretensyą do powagi i starał się zachować powierzchowność głębokiego statysty i zgrabnego dyplomaty. Mniejsze grono patrzyło trochę z góry na panów senatorów, jak ich drwiąco i zcicha w niem nazywano.

Rotmistrza otoczenie było najszczuplejsze, bo się po prostu ograniczało na Stanisława, dwóch kapucynów i jednego szlachcica szaraczka, pana Zahajpolskiego, z odległej o milę Zahajpolszczyzny, w której cudem jakimś zachowało się aż dwunastu współdziedziców. Pan Bartłomiej okrzyczany był za oryginała, bo choć miał w zaścianku dwadzieścia aż dusz, jak moskiewskim obyczajem nazywano biednych wieśniaków, żył z temi duszami, do pańszczyzny przeznaczonemi, po bratersku, prawym był człowiekiem, chociaż chodził w siwej świtce, na czamarkę przystrojonej, a był ogromnym werydykiem, i rznął prawdę od ucha i braciom szlachcicom, i jaśnie wielmożnym, a nawet i jaśnie oświeconym. Rok jakoś temu, gdy jeden z jaśnie oświeconych forytował się na guberskiego marszałka, i z tego powodu odbywał się obywatelski zjazd przedwyborczy, nagle pomiędzy kocze, karety, faetony i żokiejskie cugi paniczów, do złoconej młodzieży należących, wtłoczył się pana Bartłomieja wóz drabiniasty, dwoma chłopskiemi, tęgiemi podjezdkami zaprzężony, a na nim pojawił się pan Bartłomiej w swej siwej świtce, w chłopskich butach i w baraniej czapce na zawiasy, i wszedł sobie bez żenady do pańskich salonów.

— Dziegciem śmierdzi — mruczeli dość głośno panicze i panie.

— Tu trupem czuć! — powiedział pan Bartłomiej kręcąc nosem. — Panie bratku jakieś pachnidła, jakby od zabalsamowanego nieboszczyka...

A trudno go było wyrzucić, bo pan Bartłomiej nie dał sobie w kaszę napluć; był nieco gorączka, a szablą tak wywijał i tak strzelał, że przed niedawnemi laty, gdy jeden oberwał przez twarz od ucha aż do gęby, a drugi, choć rotmistrz od gwardyjskich huzarów, dostał kulą w udo, poskromnieli jakoś salonowce. A koniec końców, był zawsze z rodu Zahajpolskich, spokrewnionego z pierwszemi kraju rodzinami rodu, o którym herbarze a mianowicie dzieje ojczyste piszą. Więc też pan Bartłomiej powtarzał sobie wszędzie głośno, bez ogródki i bezkarnie:

— Czy tak, czy siak, panie bratku, prawda przedewszystkiem! Czy jaśnie oświecona, czy prosta baba rodzi, to się zawsze tylko nagie urodzi dziecko. A wtenczas ani Bóg nasz, ani nasza ojczyzna nie patrzy na to, panie bratku, czy to będzie chodzić we fraku i krynolinie, czy w kożuchu i jupce, ale na to, czy będzie z niego dobry chrześcianin i sprawiedliwy syn matki ojczyzny. Czy tak, czy siak, panie bratku, kto nie jest ani jednym ani drugim to szelma panie bratku, choćby miał wszystkie klucze szambelańskie na tyle, a wszystkie ordery na przedzie!...

Pan Bartłomiej był w powiecie przez wszystkich ludzi poczciwych szanowany, a w Zahajpolszczyznie u współdziedziców po Panu i Pannie Przenajświętszej był pierwszą figurą. Moskiewskie urzędy prześladowały go wszystkiemi sposobami. Ale on karku nie zgiął, chłopskim swym rozumem dzielnie się wywijał, i gdy raz na jarmarku w miasteczku wpadł w pasyę, powiedział wręcz panu sprawnikowi Fliedersowi:

— Czy tak, czy siak!... Sobaka bresze, dzika bestya krew chlepce, a Moskal łże, kradnie i rozbija, bo natury nie przemienisz, panie bracie.

Paweł Onufryewicz chciał to rozmazać i awanturę zrobić, ale tym razem, jak i wielu innymi razami, skończyło się na tem, że wcale karmny wieprz przeniósł się z karmnika pana Bartłomieja do Flidersowej spiżarni.

Tak tedy stały stronnictwa w sali pałacu markiza. Dodać jeszcze należy, że byli w zgromadzeniu i tacy, co to się nigdy zdecydować nie umieją i lubią pływać między wodami. To też widzimy takich kilku, przechadzających się w głębi sali. Byli to ludzie mniejwięcej bez brzucha, ale nie bez ducha, którym smaczne jedzenie i picie, miękka pościel i preferansik starczą do szczęśliwego życia od kolebki do trumny. *Publicum bonum* stanowią u nich ceny targowe.

— Czy tak czy siak! przyznać potrzeba, panie bratku — mówił im pan Bartłomiej w żywe oczy — tacy ludzie nieprzymierzając jak bezrogi, którym w błocie najlepiej.

— Więc tedy mówił pan markiz i wyciągnął ku szlachcie koło niego stojącej ręce.

Był to gest, który śmiało nazwać można dyplomatycznym, bo zarówno mógł być gestem retorycznym, jak i pożegnawczym.

— Więc tedy, zdaje mi się, zostanie przytem, że będziemy wyczekiwali. Wyczekanie zdarzeń, a potem korzystanie ze zdarzeń, to najwyższy rozum stanu.

Szlachta, otaczająca mówcę, przyjęła te słowa z zadowoleniem, które się uśmiechem błogim na twarzach objawiło, choć może nie bez zadziwienia. Ni ztąd ni zowąd wedle zapewnienia pana markiza przyszli do rozumu stanu.

— Jesteśmy wszyscy Polakami! — mówił dalej markiz — Kochamy ojczyznę! — powtórzył i uśmiechnął się, co mu się prawie przy każdem kłamstwie zdarzało.

— Tak jest, kochamy ojczyznę! — zakończyła szlachta poczciwa, słowem tem od razu uchwycona za serce.

— Wątpić niepodobna, że czas ważny nadchodzi. Wiadomości z Warszawy są wszakże tego rodzaju, że nie należy występować z żadnym krokiem stanowczym. Wszelki wybuch byłby zgubą naszą, i dlatego jest nie na czasie, ani też w duchu dzisiejszego ruchu, który trzeba pojąć należycie. Ruch naszego narodu powinien być ruchem demonstrancyjnym przed Europą!... tak, moi panowie, przed Europą!

Markiz dumnie wypiął się naprzód, a szlachcie Europa djable zaimponowała.

— A nakoniec w każdym razie kierunek całej sprawy jak na teraz, tak i na później przy sobie pozostawiamy.

Skończył markiz i odsapnął. Ci co go otaczali, patrzyli na niego z uszanowaniem i już się brali do pożegnań, radzi że się raz pozbędą nudnej narady i cienkiej herbaty.

— Przykro mi! — zawołał były kamerjunker głosem więcej piskliwym jak donośnym i wybiegł z kółka swego naprzód, a twarz, oczy i ruchy wszystkie nabrały coś gorączkowego, co mogło zapał znaczyć.

Przechód z zwykłego salonowo-żurnalowego układu do tej popędliwości był dziwnie nagły.

— Bardzo mi przykro, że się nie we wszystkiem mogę zgodzić z szanownym mówcą, poprzednikiem moim.

— Tam do kata! panie bratku! choć z ojcem! kamerjunker z markizem! to będzie coś nowego! — mruknął półgłosem pan Bartłomiej.

— Godzę się zupełnie na to, że kierunek całej sprawy przy nas zostanie, tak przy nas!...

I dla silniejszego słów znaczenia uderzył się silnie w piersi urękawiczkowaną ręką.

— My tu w tej części drogiej ojczyzny naszej, ukochanej Polski, wiemy najlepiej jak, kiedy i co!... nieprawdaż?...

— Tak panie Arturze! — zawołali z szczerym zapałem najgoretsi — ty nam będziesz przewodniczył.

— Ale się godzić nie mogę, ze znaczeniem ducha dzisiejszej chwili, jak je nakreślił szanowny mój poprzednik. Demonstracye już niedługo się przeżyją, czas czynów nadchodzi! Tak panowie, czas czynów! i my potrafim być na wysokości tego czasu! Co tam marne demonstracye ulicznych występów! nic nie nadadzą. Niedługo przyjdą na porządek dzienny inne demonstracye przed Europą, któremi pokażemy Europie, czem są Polacy i ich prawa niezadawnione. Ja panowie goręcej sprawę naszą rozumiem, sprawę świętą, sprawę odwetu strasznych krzywd!...

— To mi zapał!... Jest w nim serce!... My z tobą Arturze! — odzywały się głosy...

— I dlatego! — mówił dalej rozogniony Artur, rękami rozrzucając, i na wszystkie wiatry rozpuszczając swoje dosyć długie włosy, — i dlatego moje zdanie jest, że nietylko z samą Warszawą porozumiewać się należy, ale trzeba dalej sięgnąć i wejść w stosunki z rozgłośnymi przewodnikami naszej sprawy za granicą. Jakoż mogę panom oświadczyć z przyjemnością, że poczyniłem już ku temu potrzebne kroki.

Tu zgromadzeni poskupiali głowy, i szmerem szeptanym przeleciało nazwisko Mirosławskiego, a niektórzy zwrócili na Artura pytające spojrzenie.

Artur nic nie odpowiedział, jeno nieznacznie, jeżeli nie dwuznacznie kiwnął głową.

— My siebie pewni! chwila znajdzie nas gotowych! — skończył były kamerjunkier, i spocone obtarł czoło. A otaczający uścisnęli go z zapałem.

— Czy tak, czy siak panie bratku! — wybąknął niepoprawiony rubacha — trzeba wyznać, że trudno więcej i mniej powiedzieć! Dymu jest dosyć, to musi być i ogień!...

Dodajmy mimochodem, że gdy syn mówił, ojciec poprawiał kołnierzyk.

Przez czas obydwu przemówień widocznie gromadziły się chmury na czole i twarzy starego rotmistrza. Cierpliwość nie była jego cnotą. To też choć po zamknięciu przemowy pana Artura szmer wielki rozszedł się po sali, i już się wszyscy zbierali do wychodu, rotmistrz poskubawszy wąsy siwe zawołał głosem potężnym jeszcze:

— Chwilę cierpliwości panie i dobrodzieju!...

Szlachta obejrzała się za głosem, a widząc siwego i ukochanego rotmistrza, jak wystąpił naprzód z roziskrzonem okiem, a ruchem ręki nakazującym, stanęli wszyscy na miejscu, i milczenie nastało zupełne.

— Oba gadali i w końcu nic nie powiedzieli, do kroć sto tysięcy!... Jedna nuta!... inny ton tylko!... Jeden mówił na biało, drugi na czerwono, a w końcu wychodzi na to, że dzisiejszy ruch narodowy ma być demonstracyą, i że trzeba czekać... bo wszyscy gotowi. Ależ do dyabła! panie i dobrodzieju, tu nie idzie wcale o czekanie bierne! Czekanie takie choćby ze stosunkami z tym szaławiłą waszym, któregoście nazwisko asańswo półgębkiem wygadali, co mu się zdaje, że na to jest ojczyzna i ruch w niej, aby on dyktatorem, — na nic się nie zda!... O duchu dzisiejszym pletliście jak Piekarski na mękach. Ja wam do kroć set... powiem krótko i węzłowato. Powstanie kiedy wybuchnie, w Bożem jest ręku. Czy dziś powstanie jest na czasie czy nie? i jaki może wziąść koniec?... my wiedzieć nie możemy. Wam się zachciewa jakichś kierowników. Jenerałów jak maku, a szeregowców ani w ząb. Szeregowcem, wiara, niech każdy stanie jeden przy drugim. A jeden drugiemu niczem przewodzić nie powinien, chyba zapałem!... by się ten wzmagał, rozchodził i gorzał bez ustanku!... I będzie zapał, jeżeli będzie wiara niezłomna!...

Dalej przeszedł do wywodu jaka jest organizacya, jakie jej środki być powinny i cele. A skończył wreszcie:

— Wszystko dla ojczyzny!... imię, dzieci, mienie, i życie dla ojczyzny!

Stary rotmistrz, gdy tych słów domawiał, miał płomień i łzy w oczach. Stara twarz odmłodniała zapałem i natchnieniem.

I zapał z mnóstwa błysnął oczów.

— Panie bratku!... to mi człowiek!... Gdy tacy wszyscy Polacy!...

— Wszystko dla ojczyzny! — zawołał nagle jeden z księży, a na rozognionem czole naprężyły mu żyły wszystkie. — Wszystko dla ojczyzny! i dla świętej wiary naszej! której największym prześladownikiem jest Moskal!...

Stanisław Wydra milczał, ale drżał cały ze wzruszenia.

— Bóg i ojczyzna! — powtórzył głosem przekonania.

Markiz a nawet i czerwony pan Artur, widząc zapał szerzący się pomiędzy szlachtą, wbiegli także w środek... i wołając:

— Tak jest!... słusznie mówi pan rotmistrz! — jęli co prędzej ściskać ręce i kłaniać się na znak pożegnania.

Szlachta też ponowiwszy parę krzyków entuzyastycznych, garnęła się ku drzwiom.

Stary rotmistrz smutno patrzał za nimi.

— Jedźmy, panie Stanisławie — rzekł przytłumionym głosem.

— Czy tak czy siak, panie bratku!... nic to nie szkodzi!... jak zawołają, wtedy inaczej się pokaże.

— A przy pierwszej przegranej do domu nazad — mruknął rotmistrz kiwając ręką.

— A myż od czego? — zagadł Stanisław.

XI.

Ojciec z synem odprowadzili odjeżdżających gości aż na ganek pałacowy, żegnając serdecznemi rąk ściśnieniami. Jeden z ostatnich odjeżdżał stary rotmistrz. Zdawał się bardzo zamyślony. Komplementa pożegnalne pana markiza przerwał nagle:

— Panie i dobrodzieju!... proszę asindzieja, abyś przyjechał do mnie od dziś za tydzień!...

— Będę służył panu rotmistrzowi — odpowiedział markiz de Ketteler rzucając na starego ciekawe i badawcze spojrzenie.

— Od dziś za tydzień! — powtórzył w ciągłem półzamyśleniu. — Tylko pewnie!... za tydzień! prędzej nie można! — dodał jakby sam do siebie mówiąc. — I z synem? — dokończył głosem dobitniejszym, jakby obudzony z zamyślenia. — Czekam, ale pewnie.

Ojciec z synem skłonili się. Rotmistrz odwrócił się tymczasem do szlachcica w siwej huńce, który czekał na swój wóz drabiniasty: i twarz stara, poczciwa rotmistrza zajaśniała żywszym wyrazem.

— Bracie Bartłomieju! siadaj asindziej z nami! do pół drogi razem jedziemy. Pogadamy przez drogę.

I wsiadł z Stanisławem i Bartłomiejem do swojej znanej w całej okolicy, odwiecznej, żółtej, niekrytej kałamaszki.

Markiz z kamerjunkrem wrócili do sali. Gdy się sami znaleźli ojciec z synem, spojrzeli po sobie i... zaśmieli się. Ojciec zacierał ręce; syn z miną rezolutną puszczał w górę dymy cygarowe. Radowali się widocznie, że się im udała komedya; komedyą był ten cały wydatek komunałów patryotycznych, któremi przed chwilą sypali zgromadzonym gdyby piaskiem w oczy. Wszakże dla nich całe życie było komedyą, którą jako artyści towarzyskiej komedyi, odgrywali na swój benefis.

— Głupia szlachta! — ozwał się pan markiz i uśmiechnął się.

— Głupiuteńka — zawtórował pan kamerjunker i przypatrywał się własnej facyacie przed zwierciadłem.

— Czy tylko nie nadto dosadziłeś czerwonemi barwami? — zagadł markiz.

— Ale gdzie tam!... znam ja moich szlachciców. Przeciwnie ja mniemam, że ty byłeś zamało białym.

Ojciec z synem tykali się w najczulszej poufałości. To także było zagranicznej mody naśladowanie.

— Bo widzisz, trzeba być ostrożnym!...

— Czy się boisz?...

— Ja się nie boję!... ale przecież w razie jakiego donosu...

— Przy naszych stosunkach w rządzie, nie ma niebezpieczeństwa...

— Ale to napomknienie o Mierosławskim...

— To był bąk konieczny dla niektórych zapaleńców. Ty tego nie rozumiesz. Dla zagorzałych trzeba koniecznie takich ślepych wystrzałów! Rzecz idzie, abyśmy nimi kierowali obydwa, każdy ze swej strony: ty reformami, a ja takiemi fajerwerkowemi racami... Inaczej być nie może; inaczejby się nam wymknęli i gotowiby naprawdę jakie głupstwo palnąć... wziąść rewolucyę na seryo!... Cała sztuka, byśmy zachowali naczelnictwo, ty między chłodnymi głupcami, a ja między gorącymi głupcami! A nareszcie, nie uważałeś, że ja

sam nie wspomniałem nawet Mierosławskiego nazwiska. Rzuciłem im kilka słów pustych, a oni się reszty sami domyślili, i moje ślepe wystrzały raczyli przyjąć za rzeczywiste bomby Orsiniego...

— Ile to sobie pracy zadawać trzeba! — zakonkludował markiz poważnie i z pewnem namaszczeniem — aby powstrzymać jaką katastrofę, i sprawę szczęśliwie wyprowadzić z zaułków na szeroki gościniec rzeczywistości...

I obraz ten rozmowy ojca i syna — smutno to przyznać — nie jest utworem bujnej wyobraźni, i nie jest przesadzony wcale. Chciejmy ściśle przejrzeć dzieje naszych wszystkich wstrząśnień politycznych, których już tyle przebyliśmy od nieszczęsnego upadku naszego, a znajdziemy podobne przykłady.

— Niepokoi mnie jednakże — zaczął znowu markiz — ten stary rotmistrz. On gotów doprowadzić do ostateczności.

— Myślisz?...

— Ja tego człowieka nie pojmuję!... taki stary... i ma majątek... a rewolucyonista!...

— A co najgorzej! to jest, widzisz, entuzyasta!...

— Co za djabeł ten entuzyazm?... czy ty wiesz co to jest entuzyazm?...

— A ty czy wiesz?...

— A bodajem przestał być markizem, jeżeli wiem i rozumiem co to jest entuzyazm?...

Tak jest w rzeczy samej: i p. markiz i kamerjunkier nie rozumieli co jest entuzyazm. W ich składzie mózgowym brakowało tego właśnie nerwu uczuciowego, po którym jak po strunie zadrżeć może ton zapału... entuzyazmu!...

— Ba!... — odrzekł syn z pogardliwym uśmiechem — entuzyazm w końcu, to jest warjacya, umoralizowana przez jakieś dziwactwo natury.

- Ale on gotów przyprowadzić do rozlewu krwi, a jakkolwiek bądź, ja mam wstręt do krwi.

— Jesteś raczej za szubienicą niżeli za gilotyną!...

— Zapewne!... ale widzisz!... to zawsze nasi!...

— Nasi!... — odpowiada kamerjunker, — doskonały jesteś ojcze z tymi naszymi!... W końcu puszczenie krwi najlepsze na maligně!... A co do starego rotmistrza, on pierwszy sam siebie zgubi!... tak czynią wszyscy entuzyaści!...

— Zgubi!... zgubi!... — powtarzał markiz w zamyśleniu.

— Jeżeli sam tego nie uczyni, można mu pomódz!... rozumiem przez to... można go zneutralizować!... Ja mniemam, że nie przyszłoby nam trudno wysadzić go z konia w stronnictwach, które my, każdy w swojem stanowisku zabsorbujemy!...

— Ma za sobą podobnych jak sam!... a i tacy są...

— Strasznie niewielu!... widziałeś sam!... garbarz... kapucyn, ksiądz i szlachetka... O tych mniejsza!... Sybir ich pochłonie!...

— Nie miałbym wreszcie nic przeciw temu!... jakkolwiek żal by mi było starego rotmistrza! ale tu widzisz mój Arturze, idzie o ciebie!... przecież mnie rozumiesz...

— Dziękuję za ojcowskie serce!... Myślisz o Konstancyi?...

— O Konstancyi także!... ale głównie o majątku rotmistrza...

— Strasznie ci idzie o Zaskale! ale w końcu nie wielka rzecz...

— Mylisz się!... Zaskale ma grunta sławne, i las ogromny!... Zaskale przynosi w najgorszych latach kilka tysięcy rubli srebrnych!...

— Ale jużciż ja mogę mieć pretensyę i do lepszego posagu!... i znajdę go przecież! — dodał z wyrazem najnaiwniejszej próżności.

— Dodam — o czem nie wiesz — że rotmistrz zebrał znaczną gotówkę i kapitały!...

— Proszę?... entuzyasta i człek praktyczny razem!... mieć może?...

— Trzykroć stotysięcy rubli srebrnych, w rozmaitych papierach!...

— Djable!... To wcale rzecz piękna!... Zaczynam się zapatrywać na kuzynkę Konstancyę z innego stanowiska. Chociaż, by wyznać prawdę, nie podoba mi się wcale, mimo niezaprzeczonej piękności!... To takie okropnie cnotliwe!... kolosalnie zapalone!... i monumentalnie patryotyczne!... Jak zacznie sadzić wielkiemi uczuciami, aż się słabo robi!...

— Więc widzisz, dlaczego mi idzie jeszcze o rotmistrza! Trzeba byś został naprzód jej mężem, właścicielem fortuny rotmistrzowskiej... a potem...

— A potem mniejsza o rotmistrza!...

— Ha!... zapewne!... ja nie dopilnuję przecież człowieka, co się na gwałt chce zarznąć, choćbym go nie wiem jak żałował! I dlatego spieszyć nam trzeba... Jak stoisz z Konstancyą?...

— Właściwie ja zupełnie nie stoję z nią.... Ale zawsze jestem z nią bardzo czuły... nawet wzdychający czasem, po dobrym obiedzie!... i straszliwie patryotyczny!... Ona ma dosyć ufności we mnie!...

— To bardzo dobrze!.. Za tydzień mamy być u starego!.. Mnie się zdaje, że jesteśmy na najlepszej drodze. Zapewne zechce ustalić los wnuczki, i zabezpieczyć majątek nim się rzuci...

— Głową w przepaść!...

— Jest to, widzisz mój Arturze!... jeden z powodów, dla których wdawałem się w politykę! to był najlepszy sposób na skaptowanie rotmistrza!...

— A myślisz, że ja nadaremnie pakuję frygijską czapkę na głowę!... Ja jej androny naplotłem nietylko o Mierosławskim, ale nawet i Garibaldego wystawiłem naprzód!...

— A więc nasza wygrana!

— Któż mógłby wątpić o tem?...

XII.

Podczas gdy ojciec z synem oddawali się nadziejom najświetniejszym, kałamaszka rotmistrzowska była widownią innej rozmowy. Bartłomiej i Stanisław pod wpływem uczuć silnych, rozbudzonych przemową rotmistrza w sali przodków markiza de Ketteler, rozmawiali o przyszłości. Obaj pełni szczerego i serdecznego zapału, przywiązani do ojczystego kraju z tym entuzyazmem niezrozumiałym dla obu Kettelerów, a który w nich był niezłomną wiarą w przyszłość narodową, i był podniesieniem ducha zbiorowego narodu całego aż do najwyższej idei ofiary i poświęcenia bez granic, obaj mogli się rozumieć, i rozumieć doskonale.

— Więc panie bratku!... czy tak czy siak! — mówił Bartłomiej, bakierując jeszcze więcej czapkę z zawiasami — ale hasło dane...

— Mimo wszelkiej pracy organicznej, która się stara zyskać czas, długo powstrzymać się nie da! U inteligencyi, pomiędzy szlachtą i w miasteczkach Kongresówki przemaga zapał!

— Czy tak czy siak, panie bratku!... czy tak czy siak... Ja w mojej Zahajpolszczyznie ręczę za pięćdziesięciu przynajmniej...

— W Gradowcach i w trzech jeszcze miasteczkach powiatu naszego, rachować mogę kilkadziesiąt do stu. W garbarni mam zakopanych dwieście karabinów, które mi się udało poskupywać i sprowadzić pomału. Mortko żydów obrabia!... i ma już zapewne kilku bogatszych kupców, którzy dadzą pieniądze... Mam porozumienia z Wołyniem!... tam także pomiędzy szlachtą wre...

— Czy siak czy tak!... — przemówił Bartłomiej głosem wesołym, i musiał poprawić czapki, która już mu zlatywała z lewego ucha.

— Nieprawdaż, rotmistrzu? — dodał zwrócony do rotmistrza, zdziwiony nieco jego długiem milczeniem.

— W boskim ręku sprawa nasza!...

— Czy tak czy siak, panie bratku!...

— Idzie tylko o to, czy ten duch czysty poświęcenia, jaki was przejmuje, moi młodzi przyjaciele, stanie się duchem powszechnym?

— Rotmistrzu! — przerwał Stanisław, który się już dłużej nie mógł powstrzymać, - naród, którego starce takiem młodem sercem czują, i takim młodym mówią językiem, naród taki jest nieśmiertelny!...

— Amen, panie bratku...

— Jeżelim milczał słuchając was — mówił znowu rotmistrz po krótkim przestanku, — jest i ta przyczyna, że ta narada u markiza zasmuciła mnie nieco.

— Zapał przy końcu najlepiej dowiódł!

— U nas nie trudno o zapał, trudniej o wytrwałość!...

— Ależ panie rotmistrzu, i markiz i syn jego nawet zanadto się już jasno wyrazili...

— Jabym wolał, żeby się byli wcale nie wyrazili!... Nie znacie tych ludzi tak jak ja!... Tych ludzi egoizm, to gangrena naszego społeczeństwa!... Wolałbym ich mieć otwartymi przeciwnikami... Wolę otwartego wroga, niżeli przyjaciela dyplomatę!... Ale wiele o tem gadać! a tu już rozstajne drogi...

I w samej rzeczy, po serdecznem pożegnaniu, pan Bartłomiej zarumieniony zapałem co wrzał w nim, przeniósł się na swój wóz drabiniasty.

Gdy został sam na sam z rotmistrzem Stanisław, przypomniał sobie rozmowę z Konstancyą. Prawego to i dzielnego serca był młodzieniec, kochał Konstancyę, odkąd siebie zapamiętał, kochał namiętnie. Ale nadto miał szlachetne zasady, by w tej okoliczności nie być tem więcej surowym w ocenieniu praktycznego własnego położenia. I dlatego, mimo serca bijącego miłością, która go zniewalała do szczerej otwartości, nie wiedział jak zacząć rozmowę. Chciałby się poświęcić dla szczęścia Konstanyi ubóstwianej; lecz jak to uczynić? Sam rotmistrz poddał mu sposobność do zaczęcia rozmowy.

—Mówiłeś już z Mortkiem?.,.

— Jutro będzie u sprawnika... Trzeba z nim ukończyć jak najprędzej, tak dla bezpieczeństwa naszych przygotowań organizacjnych, jak i dla spokojności panny Konstancyi, której pretensye jego niegodziwe...

— Straszą!... — nie ma się czego bać... jeszcze ja żyję, będę miał tyle czasu, aby Konstancyę ubezpieczyć...

Gdy mówił te słowa, lekkie westchnienie wyrwało się z piersi starca...

— I mówiła ci o tem Kostunia?... —

— Prosiła mnie nawet... o radę!...

— Ciekawym coś poradził?... czemuż nie mówisz! jaka rada twoja? — dodał, wpatrując się w młodzieńca coraz uważniej.

— Moja rada... jest...

Tu Stanisław westchnął, lecz wnet zaiskrzyły mu się oczy szlachetnym zapałem, połknął westchnienie, i mówił dalej choć drżącym, ale stanowczym głosem:

— Trzeba od razu niemożliwymi uczynić pretensye i zabiegi sprawnika...

— A to w jaki sposób?...

— Wydaniem za mąż!... dalibóg że prawda!... i za kogoż to radziłbyś?,...

— Za pana Artura!... Że się o jej rękę stara oddawna, to przecież dawno rotmistrz musiał zauważyć...

— A tak! za Artura! małżeństwo stosowne!

— I w tym związku najlepsza byłaby rękojmia, że pan Artur wraz z ojcem wiernymi zostaną naszej sprawie...

— Masz może i słuszność!... lecz zostawmy to na później... Ja dziś w nocy wyjadę jeszcze...

— Dziś w nocy?... — zagadł Stanisław zdziwiony.

— Tak jest, na dni cztery czy pięć!... jak wrócę, uradzimy coś stanowczego!... a tymczasem staraj się negocyacye przeciągnąć przez Mortka z sprawnikiem jak najdłużej... przyrzekając mu złote góry... co chcecie... byle był cierpliwy... Za tydzień!...

— Jak przyjadą panowie Kettelery — przemówił Stanisław mimowolnie.

— Tak jest! za tydzień ukończę wszystko.

Stanisław zamilkł.

Wkrótce też zajechali przed stary dwór. Stanisław miał twarz na pozór spokojną, choć mu w piersi drżały bez ustanku dwa tylko słowa:

— Stało się!... stało się!...

Poświęcenie było dokonane!... Miał nawet tyle siły nad sobą, że z uśmiechem na ustach stanął przed Konstancyą, która go wyciągnęła na przechadzkę, i znalazł jeszcze słowa, by ją uspokoić, i wytłumaczyć, że dziadek przy pierwszych słowach przerwał mu, i stanowczo rozwiązanie trudności wszytkich odłożył do powrotu z tej jakiejś tajemniczej podróży. Konstancya nadto była pewną siebie i swego postanowienia, aby się nie uspokoić. Rzekła tylko z uśmiechem pół swawolnym, pół czułym:

— Kochany Stanisławie! ja nie chcę, byś w walce z wrogiem był takim tchórzem, jakim jesteś w walce o moją rękę!... Ale zato ja mam odwagę i za siebie i za ciebie i ta ręka będzie twoją!...

Z rozpaczą w sercu tem większą, że ją musiał taić i pokrywać pozornym spokojem, odszedł Stanisław.

Rotmistrz zebrawszy jakieś papiery, wyjechał wieczorem, powiedziawszy wnuczce na pożegnanie:

— Jadę w ważnym pieniężnym interesie.

XIII.

Wspominaliśmy już kilka razy o żydzie Mortku, z którym wypada się nam bliżej poznać, tem więcej, że niemałą ma on teraz w opowiadaniu naszem odegrać rolę, jako wysłannik w ważnej sprawie. Jak wiemy bowiem, ma on rozpocząć układy ze sprawnikiem, mające zniweczyć znane już nam namysły Pawła Onufryjewicza Flidersa.

Mortko był z ojca i dziada pachciarzem majątku Gradowskich. Jako taki, był on typem bardzo zwyczajnym na naszej ziemi żydów siedzących po karczmach, i wyzyskujących chłopa za pomocą tego nieszczęśliwego nałogu wieśniaków naszych do zabójczego trunku. Przywiązany do miejsca, w którem mu się dobrze dzieje, część tego przywiązania egoistycznego przenosi on i na dziedzica, uważając go w części, jako część kapitału przez niego wyzyskiwanego. Przywiązanie to nie rozciąga się tak daleko, aby nie okpił dziedzica, gdy mu się nadarzy sposobność; ale go czyni z drugiej strony pożytecznym w części opiekunem tego dziedzica; pilnuje bowiem jego dobra jako dobra własnego, by inny go nie wyzyskiwał; pilnuje, by go broń Boże obcy nie okpiwał. Taki żyd pachciarz bywa do dziedzica w stosunku niejako właściciela do krowy, który wydaja ją jak może najzupełniej, ale przestrzega, by mu krówki kto inny nie poddajał. W tej mierze Mortko był żydem i nic więcej. Mimo to wszakże miał on jeszcze inną, typową stronę, o której się pokrótce rozpiszemy. Był on rzeczywiście przywiązanym do ziemi, na której się urodził; był w tej mierze Polakiem. Podstawą tego uczucia narodowego, był zapewne egoizm, i wynikające z niego wyrachowanie. To przywiązanie do kraju ojczystego wyrabiało się ogólnie między żydami mieszkającymi w prowincyach polskich berłu moskiewskiemu podległych, w miarę ucisku okropnego, i niesprawiedliwości prawnych i nieprawnych bez liku, jakich doznają pod rządem moskiewskim. Moskal jest żydów i Polaków wspólnym i bezlitośnym wrogiem; rozumieją to żydzi, i nienawiść ich do Moskali wyradza się w rodzaj sympatyi dla Polaków, z którymi prócz tego stosunki są im nadzwyczaj korzystne. Lecz w Mortku to przywiązanie dochodziło do tak niezwykłych rozmiarów, że gotów był nawet do poświęceń znacznych dla sprawy polskiej, a nawet dał się używać — jak to już napomknął Stanisław — za czynnego w tej sprawie ajenta, co go mogło wystawić na prawdziwe i wielkie niebezpieczeństwa. To uczucie wyrobiło się w nim w sposób dosyć ciekawy, w jego kółku rodzinnem.

By się zapoznać z tem kółkiem rodzinnem, trzeba nam na kilka chwil wstąpić do karczmy, którą głównie zamieszkiwał. Mortko konstantynowski, jak go nazywano od miasteczka Konstantynowa, zkąd wyszedł przed wiekiem dziad jego, właściwie nigdzie nie mieszkał, albo raczej mieszkał na wózku, którym się ciągle przejeżdżał trzymając arendę w Zaskalu, w Gradowcach i Łaszczyńcach, i prowadząc prócz tego handel wołami, które wypasał na ogromnych pastwiskach zaskalskich. Główną jego kwaterą wszakże była wielka karczma, należąca do Zaskala, i zwana „Rozdroże“, dlatego, że stała właśnie na trakcie pocztowym krzyżującym się przy niej z drugim, bardzo ożywionym traktem handlowym, z Wołynia przez Podole ciągnącym aż ku Ukrainie i Bessarabii. Karczma była obszerna, porządnie do zajazdu urządzona, i mocno uczęszczana, tam bowiem ciągnęły zwykle wszystkie fury i budki żydowskie, i tam nawet spieszyły szlacheckie powozy na popasy i noclegi, bo w całej okolicy, ba nawet w całej gubernii — jak mówił sam Mortko z upodobaniem — słynna była czysta i smaczna kuchnia Ryfki, córki Mortka. I w rzeczy samej karczma Rozdroże odznaczała się nadzwyczajną czystością i niezwykłym po naszych staropolskich traktach, żydowskim wprawdzie, ale zawsze komfortem.

Rodzina Mortka była bardzo liczna. Prócz dwóch synów, z których jeden kupczył w Berdyczowie, a drugi aż w Odesie, miał w domu dwie córki, z których jedna wdowa, była ową sławną Ryfką, a druga Sura, przy ojcu mieszkała z mężem Ickiem, który się właściwie samym tylko zajmował szynkwasem i drobnemi finansowemi operacyami chłopskiemi. Po jednej i po drugiej córce było mnóstwo bachurów, a więc i krzykliwy i wiecznie rozkiwany i rozmamany belfer. Była jeszcze i Basie, stara żona Mortkowa, stara żydowica, która się już tylko nabożeństwu oddawała, i miała jedynie pod swoim zarządem szlachetniejsze trunki, jakoto: wina, miody, wiśniaki itd., na których nie brakowało w zamożnej karczmie, i do których miała osobnego miszuresa, Jankla, dalekiego krewnego. Cała ta rodzina była czysto żydowska, i nic więcej o niej nie było do powiedzenia, prócz tego, że miała w obszernej karczmie swoje dwie izby odrębne, gdzie panował samodzielnie nieporządek betowy, bachurowy, krzykliwy, cuchnący, brudny, prawdziwie tradycyjny, i gdzie się znajdowała zwykła szynkowa dla chłopów izba.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Musisz pan znaleść jaki ratunek dla mnie! — zawołał Artur gwałtownie — nie odejdę ztąd dopóty, dopóki nie dasz mi chociaż cienia nadziei. Szanuję bardzo lady Chesley, ale nie mogę żyć z nią! Rozważ pan sobie wszystko dokładnie, naradź się z innymi prawnikami, zlituj się nademną!

— Uczynię wszystko, co mogę — odrzekł adwokat. — Nie byłoby jednak najlepiej, gdybyś pan powiedział otwarcie żonie, że czujesz do niej wstręt nieprzezwyciężony? Możeby ona przystała na seperacyą!

— Może, ale w takim razie nie mógłbym się ożenić z inną, a o to przecież głównie mi chodzi. Oddaję sprawę tę w ręce pana — nie szczędź ani trudów, ani kosztów, ja wszystko wynagrodzę, tylko wróć mi moję wolność.

— Uczynię, co mogę — powtórzył adwokat — obawiam się jednak, że rezultat nie zadowoli pana.

Artur został jeszcze kilka dni w Londynie, ostatecznie przecież musiał wrócić do domu.

Helenka i rodzice jej powitali go z taką radością, że znowu uczuł wyrzuty sumienia. Gdy Helenka rzuciła mu się w objęcia, żałował szczerze, że nie może jej odpłacić tą samą miłością, patrzał tylko na nią uważnie, czy już dosyć jest zdrową i silną, aby mógł z nią o przyszłości mówić. Ale wyglądała ona zawsze jeszcze tak blado, była tak przezroczystą i delikatną, że obecnie nie można jej było narazić na podobną przykrość. Janina bardzo się w tych kilku dniach zmieniła. Serce Artura ścisnęło się bólem, gdy spojrzał na tę twarz ukochaną, zdradzającą głęboką boleść i rozpacz i na oczy jej, dawniej promienne i błyszczące szczęściem, a dziś zgasłe, otoczone sinemi obwódkami. Pomimo to uważał za swój obowiązek uwiadomienia jej o smutnym wyniku rozmowy swej z adwokatem.

— Sprawa moja w Londynie — rzekł znacząco — nie jest jeszcze załatwioną. Będę musiał wkrótce jechać po raz drugi na kilka dni.

Janina zrozumiała go i wyszła z pokoju.

Wieczorem dopiero, gdy Helenka udała się na spoczynek, mógł jej dokładnie powtórzyć słowa Lubanka.

— Uczyni on wszystko, co w jego siłach — dodał — ale nie zostawił mi żadnej nadziei. Och! Janiu! Jakże nierozważni byliśmy oboje!

— Tak — westchnęła. — Teraz wszystko się skończyło. Ciotka dziś jeszcze mówiła mi, że życie Helenki jedynie od ciebie zależy.

— A ja nie mogę ocenić jej miłości. Kocham ciebie jedną na świecie, Janino, i nigdy innej kochać nie będę. Boże Wielki, jak okropnem jest moje położenie!

Rozpacz obojga straszną była, pomimo to wiedzieli bardzo dobrze, że to, co uczynili, dobrem było, i że uczyniliby po raz drugi to samo w podobnym przypadku.

Następne tygodnie były dla nich najcięższemi. Helenka nie chciała ani na chwilę być samą, żyła tylko obecnością męża, a lady Marstone prosiła go nieraz ze łzami w oczach, aby nie uważał Helenki za zbyt wymagającą, tylko aby w całem jej postępowaniu widział tylko jej bezgraniczną miłość. Artur wykonywał wszystko, czego od niego żądano, poświęcał się zupełnie żonie, czytał jej głośno, opowiadał i uprzyjemniał tym sposobem długi czas rekonwalescencyi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Pewnego dnia otrzymała Janina list zawierający dla niej bardzo niespodziewaną nowinę. Jerzy Brendon, dawniejszy adjutant jej ojca, a obecnie kapitan, donosił, że zamierza wystąpić z wojska i wrócić do Anglii dla objęcia znacznego spadku po stryju. Biedny niegdyś oficer stał się od razu bogatym lordem, a że dobra jego leżały blizko Suzwold, przeto prosił o pozwolenie Janiny odwiedzenia jej w domu wujostwa.

— Odpiszę mu, — rzekła Janina — że dopóty Helenka nie jest zupełnie jeszcze zdrową, nie może tu przyjechać!

— O, przeciwnie! — zawołała Helenka. — Zaproś go, mamo, obecność jego będzie nam wszystkim bardzo przyjemną odmianą i urozmaiceniem naszego monotonnego życia.

I czego rozpieszczone dziecko chciało, to musiało naturalnie być spełnionem. Lord Brendon, usilnie proszony, przyjechał za kilka dni do zamku.

Jerzy podobał się wszyskim, i wkrótce też domyślono się, co go tu właściwie sprowadziło. Otóż kochał on oddawna Janinę, a będąc teraz majętnym i niezależnym, pragnął dowiedzieć się, czy może mieć nadzieję zdobycia sobie jej serca.

Przybycie młodego, wesołego gościa ożywiło od razu mieszkanców zamku. Lord i lady Marstone polubili go niezmiernie, Helenka zaś oświadczyła stanowczo, że po Arturze jest to najprzyjemniejszy człowiek, jakiego zna. Zostawała teraz już całemi dniami na dole, a chociaż zawsze jeszcze leżała na werandzie, dla oszczędzenia sił, to jednak była wesołą, rozmowną i chciała być nieustannie otoczoną całem towarzystwem. Arturowi nie było wolno oddalać się ani na chwilę, to też obecność Jerzego prawdziwem dla niego była dobrodziejstwem. Czasem kończyła się jego cierpliwość a rozpacz ogarniała tak całą jego istotę, że nie mógł słowa wymówić. I Janina milczała wtenczas, obawiając się zdradzić swoje uczucia — wesołość zaś i dobry humor Jerzego łagodził przykre położenie obojga, i nikt się nimi nie zajmował.

Sir John, upoważniony przez Helenkę, prosił, aby Jerzy pozostał w zamku kilka tygodni. Młody lord zgodził się chętnie na to, wiedział bowiem, że takiej dziewczyny, jak Janina, nie zdobywa się od razu — spodziewał się więc, że dłuższy pobyt ułatwi mu osiągnienie upragnionego celu.

Lubank tymczasem nie pisał nic, i Artur zaczął się znowu spodziewać pomyślnego rezultatu jego zabiegów i starań.

— Sprawa nasza nie może stać źle, — mówił pewnego wieczoru do Janiny. — Nie traćmy nadziei — prawnicy znaleźli pewnie jaki punkt, na którym rozwód oprzeć się da, ale nie chcą mi prędzej o tem donieść, dopóki nie będą mieli zupełnej pewności. Im dłużej Lubank milczy, tem lepiej dla nas. I oboje uczepili się tej nadziei, jak ostatniej deski ratunku, i z większą ufnością patrzeli w przyszłość. Dwa tygodnie później pozwolił lekarz przejść się Helence po ogrodzie, co wywołało szaloną radość młodej kobiety. Artur miał jej naturalnie towarzyszyć, zresztą żadnej innej pomocy nie potrzebowała.

Lord Chesley był właśnie zajęty przeglądaniem rysunków, jakie mu architekt przysłał, gdy lady Marstone zbliżyła się do niego. Jerzy i Janina byli także w pokoju.

— Masz chwilę czasu? — zapytała. — Helenka jest gotową do przechadzki i prosi, abyś jej towarzyszył.

— Przyjdę natychmiast, — odrzekł, ale głos jego żadnej nie wyrażał radości. Jerzemu podpadło to. Czyżby lord Chesley wolał był zostać w towarzystwie Janiny?

Helenka znajdowała się już w sali jadalnej, uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Patrz! — zawołała do wchodzącego męża, — po raz pierwszy znowu w kapeluszu i okryciu! Zabawnie wyglądam, nieprawda? Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek wyjdę na przechadzkę! Jakże dobrym jesteś, że chcesz iść ze mną — bez ciebie byłoby mi słońce o pół tylko tak jasnem, a świat cały brzydkim i szarym. Cieszysz się chociaż trochę, że pójdziesz ze mną?

— Naturalnie! — brzmiała dosyć chłodna odpowiedź Artura. Potem wyszli oboje do ogrodu. Lady Marstone patrzała za nimi ze łzami w oczach i po raz setny powtórzyła sobie, że po Bogu Arturowi zawdzięcza życie ukochanego dziecka.

Lekarz tymczasem radził, aby młode małżeństwo przepędziło całą zimę we Włoszech, bo tam jedynie odzyska lady Chesley siły, i wróci na wiosnę zupełnie zdrowa do domu. Sir John dziwił się w duszy, że Artur sam nie zrobił tej propozycyi, i zauważył, że zięć nie pragnie zabrać żony na wyłączną swoją własność, ale pocieszył się zaraz tem, że Artur troskliwy o zdrowie Helenki, nie chce brać na siebie całej odpowiedzialności, bo przecież o braku miłości z jego strony nie mogło być mowy. Każdy musiał kochać Helenkę, a cóż dopiero ten, któremu ona swoje serce oddała!

Jerzy obserwował dalej Artura, a dowiedziawszy się o owym ślubie w nocy, doszedł do przekonania, że lord Chesley, zmuszony warunkami, zaślubił Helenkę wbrew swej woli!

Pewnego dnia gdy Jerzy z Arturem grał w bilard i Janina przyglądała się z zajęciem walce przeciwników, przysłał sir John służącego z zapytaniem, kto zechce mu towarzyszyć w wycieczce powozem, którą zamierza odbyć z Helenką.

Janina odmówiła natychmiast dla jakiegoś ważnego zajęcia, a obydwaj mężczyźni spojrzeli mimowoli na siebie. Jerzy był przekonanym, że lord Chesley z radością skorzysta z sposobności towarzyszenia żonie, zdziwił się więc niezmiernie, gdy usłyszał teraz jego słowa:

— Jedź pan, proszę — nikt nie umie rozweselić mojej żony tak, jak pan!

Owszem, bardzo chętnie, — odrzekł z uśmiechem, — ale gdybym miał ładną, młodą żonę, to nie pozwoliłbym nikomu wyjeżdżać z nią!

Czuł się zaś rzeczywiście wielce zmartwionym, miał bowiem nadzieję, że gdy wszyscy wyjadą będzie miał sposobność rozmówienia się z Janiną. Zaledwie wyszedł z pokoju, zbliżył się Artur do Janiny, i ujmując jej ręce, zawołał w uniesieniu:

— Lord Brendon kocha ciebie!

— Wiem, — odrzekła obojętnie. — Ale nie moja w tem wina!

— Ja nie chcę, nie pozwolę, nie mogę znieść tej myśli, — wołał Artur gwałtownie. — Więc on po to przyjechał tutaj, aby mi zabrać ciebie!

— Zapewne! Ale zlituj się, — szepnęła drżącym głosem, — nie męcz mnie jeszcze twoją zazdrością. Ja i tak już cierpię zanadto! Zapominasz zresztą, że nie wolno ci przemawiać do mnie w ten sposób!

— O, czemuż Helenka mnie właśnie pokochała! Lord Brendon byłby o wiele dla niej stósowniejszy!

— Nie! On bawi ją i rozwesela, ale miłość jej należy do ciebie, i to już nigdy się nie zmieni.

W tejże chwili weszła lady Marstone do pokoju.

— Ach! — rzekła zdumiona na widok zięcia, — myślałam, że wyjechałeś z Helenką!

— Odstąpiłem moje miejsce Brendonowi.

Lady Marstone milczała, ale w głosie Artura był jakiś dźwięk, który jej się nie podobał. Prosiła potem Janiny, aby za pół godziny wybrała się z nią do wsi, i wyszła.

— Ciotka zdziwiła się, widząc nas tutaj samych, — rzekła Janina niespokojnie. — Wszystko tak się teraz zmieniło.....

— Tak! Czasem zdaje mi się, że to sen okropny. Cała moja istota oburza się na okrutne przeznaczenie, i najchętniej opuściłbym ten dom, aby nigdy już nie wracać. Cała rodzina, ojciec, matka i córka budzą wstręt we mnie, bo trzymają mnie żelaznemi więzami, a ja nie mogę już mieć własnej woli. Potem przypomina mi się owa nocna scena — dziecinna miłość Helenki i jej ślepe zaufanie wzruszają mnie — nie śmiem okazywać jej moich prawdziwych uczuć, i nie mam żalu do niej, że uczyniła mnie nieszczęśliwym na całe życie może..... Och, Janiu, gdybyśmy oboje mogli się wydostać ztąd!

— Czy to wogóle będzie kiedykolwiek możliwem? — szepnęła.

— Naturalnie! Nie mamy jeszcze powodu rozpaczania. Otrzymamy wkrótce wiadomość od Lubanka i wtedy uczynię bezwarunkowo to, co on mi poradzi. Zwierzę się najpierw lady Marstone — ona jest dobrą i szlachetną i nie odmówi nam swej pomocy.

— Będzie to okropnym dla niej ciosem. Bo Helenka nie przeżyje.....

— O, tak łatwo znowu nikt nie umiera, — przerwał Artur. — Chciałbym jej naturalnie oszczędzić tego, ale przecież i ja pragnę zaznać szczęścia. Od kiedy wiesz, że lord Brendon kocha ciebie?

— Od czterech lat. Ojciec mój żył wówczas, a ja skończyłam właśnie szesnasty rok, gdy.....

— Opowiedz mi wszystko, Janiu!

— Nie ma tam wiele do opowiadania. Wyznał mi swoję miłość, a ja — dałam mu kosza.

— Dlaczego?

— Bo nie kochałam go! Ojciec lubił i cenił go bardzo, ja także, ale kochać.....

— Nie pojmuję, że Helenka nie zauważyła dotąd mojej obojętności. Nie okazuję jej ani w części tyle uprzejmości, jak lord Brendon!

— Ach, Arturze, nie wolno nam mówić o naszej miłości, jest to niesłusznie! Nie czynimy nic złego, a pomimo to..... Ty jesteś mężem Helenki, i każda myśl, którą mi poświęcasz, jest grzechem. Rozstańmy się, ukochany! Lady Marstone czeka na mnie!

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, przy śniadaniu, wręczono Arturowi ów gorąco oczekiwany list adwokata.

— Dziwną formę ma ta koperta, zapewne od jakiego kupca, — rzekł sir John, nie przeczuwając, jak niezmiernie ważna wiadomość w niej się ukrywała.

— Jest to list od mego adwokata, — odparł Artur, siląc się na spokój, i wsunął list do kieszeni. Tutaj nie mógł go czytać. Serce uderzało mu, jak młotem; o czem się dowie za chwilę? Czy odzyska wolność i będzie mógł się połączyć z tą, którą tak szalenie kochał, czy też będzie zmuszony wyrzec się szczęścia na zawsze? Na szczęście, rozmowa była tak ożywioną, że nikt nie zauważył jego zmienionej i bladej twarzy. Helenka znajdowała się także przy stole; siły jej wracały z dniem każdym, zaczynała zwolna swój dawny tryb życia; a wesołość jej porywała wszystkich.

Janina spóźniła się dziś trochę, nie widziała zatem owego listu, i Artur cieszył się z tego. Wiedział, że Lubank znał na wskroś prawa, że zadał sobie największą pracę w celu zbadania tej sprawy, i że wyrok jego jest nieomylnym. Po skończonem śniadaniu, udał się do ogrodu, aby tu nareszcie dowiedzieć się, jaką będzie jego przyszłość.

Przechodząc przez sień, spojrzał mimowoli na wielki obraz, przedstawiający Hagarę i Izmaela. Widział obraz ten już tak często, a dziś dopiero podpadł mu wyraz rozpaczy na twarzach wygnanych.

— Czy oni więcej cierpieli, niż ja? — pomyślał. — Ach, któż może pojąć boleść i rozpacz serca ludzkiego!

W parku cicho było i spokojnie — jesienne słońce ciepłe zsyłało promienie na ziemię, ptaszki śpiewały i komary brzęczały w powietrzu. Jaka panowała różnica w naturze i w jego sercu! Następne minuty uczynią go albo najszczęśliwszym z ludzi, albo zniszczą całe jego życie.

Teraz wyjął list z kieszeni i zaczął czytać.

— Szanowny lordzie Chesley!

„Uczyniłem wszystko, co mogłem! Przejrzałem wszystkie książki i prawa, odnoszące się do sprawy pana i to jedynie, aby pana zaspokoić, bo co do mnie, to wiedziałem z góry, że wszelkie usiłowania są daremne. Rozmawiałem też z innymi kolegami — zgodziliśmy się jednak na to, że małżeństwa pana nic zerwać nie może. Na tem kończy się to, co jako adwokat mogłem uczynić.

Teraz posłuchaj pan rady starego, doświadczonego człowieka: poddaj się konieczności, i staraj się zastósować życie twoje do warunków, w jakich się znajdujesz! Żałuję szczerze, że nie mogę ci dać innej odpowiedzi“.

Z najwyższym szacunkiem

„E. W. Lubank“.

Artur przeczytał list ten dwa razy, zanim się zdecydował uwierzyć w treść jego. Potem zmiął go i schował do kieszeni. Byłby lepiej zrobił, gdyby go był podarł na drobne kawałki.

Cios ten był zanadto niespodziewanym i ciężkim. Lord Chesley był silnym mężczyzną, ale wiadomość nieszczęsna złamała go zupełnie. Na wpół przytomny oparł się o drzewo, zdawało mu się bowiem, że upadnie. Więc teraz skończyło się wszystko! Niepewność ustała, ale nadzieja znikła. Na całe życie był związany z dzieckiem, które mu całkiem było obojętne, i musiał się wyrzec jedynej swej miłości, jedynego szczęścia.

— Muszę jej to dziś jeszcze powiedzieć, — pomyślał, — a jutro wyjadę pod jakimkolwiek bądź pozorem. Biedna Jania! Byłoby nam obojgu lepiej, gdybyśmy umarli!

Smutny, zrozpaczony chodził długo po ogrodzie, i wrócił dopiero do zamku, gdy się nieco uspokoił. Na schodach spotkał Helenkę. Zaledwie go ujrzała, pobiegła ku niemu i rzuciła mu się w objęcia.

— Wiem już, — szepnęła, tuląc się do niego, — czemu dom ten tak pustym mi się wydawał! Ciebie tu nie było, a bez ciebie przestaje dla mnie słońce świecić!

Nie było to żadnem pochlebstwem, Helenka mówiła tak, jak rzeczywiście czuła. Więc nie mógł jej odepchnąć od siebie i zranić szorstkiem słowem.

Dziwna rzecz, że Helenka nie namyślała się nigdy nad tem, czy i on ją tak bezgranicznie kocha. Później, po latach — widziała wszystko w innem świetle, teraz była zaślepiona swoją własną miłością i nie zważała wcale na jego obojętność.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

(Ciąg dalszy.)

Piotruś był jednym z tych młodzieńców, których umysł rozwija się daleko prędzej, niżli w zwykłym trybie życia — których serce o wiele prędzej zaczyna czuć, a dusza pojmować cel życia, jego obowiązki. Toć też nasz młody Piotruś, acz słaby i niedojrzały ciałem, wybujał wysoko w zaletach duszy — i już w pierwszych swych dziecięcych latach płakał nad biedną, uciemiężoną przez nawał Moskwy ojczyzną, i śnił o starym świętym tronie ojców, przy którym szabla i pług, godła polskie stały...

Tak to doszedł młody synek państwa Szczygłów lat szesnastu; w tym to czasie wybuchła w kraju konfederacya... Ojciec pospieszył w szeregi walczących — syn miał zostać z matką... Nie długo to jednak trwało: młody Piotruś, któremu widmo ojczyzny nagiej, okrwawionej i błędnej ciągle przed oczyma stało, nie mógł dłużej nad kilka dni po odjeździe ojca w domu rodzinnym pozostać... Zebrał kilkunastu pyzdrskiej młodzieży, pożegnał ze łzami matkę, odebrał błogosławieństwo starego ks. Eustachego, i jak mógł uzbroiwszy się, pospieszył w mniej więcej trzydzieści koni złączyć się z ojcami.

Właśnie gdy zbliżał się z swymi towarzyszami ku mostowi na Warcie, niedaleko Lądka, usłyszał w poblizkim jarze na krańcu „Michałowej Kopani“ strzały.

Był to sygnał uwiadamiający konfederatów o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Piotruś przeczuł go, i raźno ruszył na odsiecz zagrożonym ojcom. Na nieszczęście za późno zdążył, ażeby uratować ojca; Bóg widać tak chciał, ażeby właśnie w tej chwili, kiedy Piotruś, wpadłszy niespodzianie z za ciemnej gęszczy jaru, widząc ojca w niebezpieczeństwie, zamierzył się z ciosem na owego brodatego assawułę, tenże przed samem uderzeniem, wypalił z pistoletu, i ugodził starego pana Wojciecha w piersi...

Niedługo cieszył się Piotruś życiem gasnącego ojca — w kilka chwil po błogosławieństwie, skonał on, z zastygłym uśmiechem szczęścia i pokoju na twarzy.

* * *

Wieczorem trzy mogiłki zazieleniły się w jarze; jedna starego ojca Piotrusia, druga pana cechmistrza kowalskiego, Macieja Dyni, który jeden podczas bitwy tchórząc i zasłaniając się za innych, zakłótym został haniebnie z tyłu.

W trzeciej mogiłce spoczywały zwłoki konfederata, zabitego podstępem na straży. Opodal trochę czerniała czwarta mogiłka, grób zabitego assawuły...

Niepocieszeni konfederaci po śmierci swego walecznego wodza, pomodliwszy się na grobach poległych druhów, obrali jednogłośnie młodziutkiego Piotrusia, syna nieboszczyka Wojciecha na jego następcę, i ruszyli dalej, na wroga...

I znowu pusto, głucho było w jarze: cztery mogiłek tylko przybyło cichej „Michałowej Kopani“ — kryjąc w cichej zgodzie ciała bohatera, wroga i tchórza.

VI.

Sierotka.

Tymczasem nasi konfederaci, walcząc nieraz z głodem, niedostatkiem lub niewygodami, z młodym Szczygłem na czele, przebijali się niejednem zwycięztwem, niejedną porażką przez przemagające szyki carskie ku głównemu oddziałowi Malczewskiego, podrywającego podtenczas nieprzyjaciół w okolicach Gniezna. Młody Piotruś, naczelny dowódzca pyzdrskiego oddziału konfederatów, zwany powszechnie „sierotką“, celował podówczas nadzwyczajną odwagą, wyrachowaniem i zręcznością, którą nieraz i całe pułki carskie znosił i rozpraszał. Pomimo młodego wieku był nasz sierotka od całego oddziału kochanym i szanowanym; słuchano go też we wszystkiem — bo zawsze rada jego nie wyszła na złe.

Długo, długo biedny nasz Piotruś bolał po stracie ojca, zwykle zadumany, ponury i smutny, rzadko się kiedy do kogo odzywał, a jeżeli o czem mówił, to najczęściej o swojej matce, którą w rodzinnem zostawił miasteczku, o grobie ojca lub o zwycięstwie nad Moskalami...

Pomimo tego on jednak pełnił swoje obowiązki z największą pilnością i wytrwałością i odwagą, a gdy przyszło kiedy do bitwy, wtenczas oczy zatliły mu radością, cała postać zupełnie się zmieniła, i z ponurego, zadumanego „sierotki“, stawał on się wtenczas prawdziwym doświadczonym wojownikiem... Złote bo serce biło tam pod tą prostą, mieszczańską sukmaną; przywiązany od dziecinnych lat silną, trwałą miłością do ojca — po jego śmierci ciągle o nim marzył, o jego zielonej mogiłce w „Michałowej Kopani.“

Dlatego też nazwano go sierotką; a choć później przebolał stratę ojca i cały oddał się jednej, wielkiej, wzniosłej idei, za którą cała Polska krew przelewała, to zawsze już czy to z nawyczki, czy z jakiego innego powodu, pozostał w całym oddziale „Sierotką“!“ Później to miano przyszło mu w sławę, bo gdy kilku tęgiemi porażkami dobrze przerzedził Moskali, wówczas dzielny rzeźnik Morawski, znajdujący się pod ten czas w okolicach Gniezna, gdy wieść o tem do niego doszła, wykrzyknął:

— Zrobiliście go sierotką, dał wam teraz „Sierotka“ za swoje!...

Niedługo potem otrzymał waleczny Piotruś rangę rotmistrza, od Malczewskiego, z „ordynansem wybierania podatków i zabierania urwiszowych kupek, bez dependencyi od komendy, włóczących się po kraju, rabujących Lutrów, Kalwinów i podatki, tudzież kozulbce od żydów wybierających...*)

Ta ranga dostała mu się za sławną porażkę nad Moskalami w Poznańskiem. Nie zawadzi, gdy ją tu po krótce opiszemy, ażeby dać czytelnikowi jakie takie wyobrażenie zręczności i dowcipu naszego „Sierotki“ w bitwach podjazdowych z Moskalami.

Było to przy końcu jesieni. Piotruś ze swoim oddziałem znajdował się wtenczas głęboko już w Poznańskiem, nad Wartą... Otóż pewnego razu zagłębiwszy się zanadto w długie, ciemne, w tamtych okolicach dość częste jary, został na raz z trzech stron lasu potrójną siłą Moskali obsaczony. Rada w radę: w końcu postanowiono, że nie ma nic lepszego, jak tylko poddać się i złożyć broń, bo jużci z trzech stron obsaczonym, z trzykroć prawie większym nieprzyjacielem, trudną będzie przeprawa.

Lecz jakoś nie po myśli to było młodemu „Sierotce“. ukorzyć się przed Moskalem — głęboko się coś zadumał, a w głowie jego dojrzewał już świeży jakiś, nowy plan...

Wśród obszernego lasu, nad samym brzegiem rzeki stało rzędem kilkadziesiąt lub więcej może spróchniałych, dość szerokich pni. Z kory odarte, podziurawione, stały samotne, oddalone od innych drzew, od zieloności.

Piotrusiowi świeża myśl przyszła do głowy i oczy radośnie mu zajaśniały...

— Do pni bracia! — zawołał — zsiąść z koni, ponapędzać w gęstwinę, naładować karabinki i za mną!

I pierwszy zeskoczył z konia, puścił go w las, i jednym skokiem już był w wnętrzu spróchniałego starego pnia...

— Ha! ha! ha! to wybornie, wyśmienicie! — krzyknęli radośnie nasi konfederaci, ani się spostrzegą „batiuszki“, zkąd do nich kulki jak grad sypać się będą...

I nuż dalej z koni, do pni — jak niedźwiedzie za miodem drapali się poczciwi nasi mieszczanie; wkrótce w każdym pniu zaczerniał się wykrojony otwór, a przezeń wyglądało dwie lub więcej ciemnych lufek...

Aż tu nie wiedzieć skąd, z nieba czy z pod ziemi zagrzmiało... i gęsty grad kul karabinowych posypał się ku zdziwionym, a więcej jeszcze przestraszonym bandom moskiewskim. I znowu zagrzmiały strzały, a każdy nie chybił pewnie celu.

Wielki popłoch i zamięszanie wszczęło się między Moskwą; cofnąć się w tył było trudno, bo który kilka kroków rejterady ku starym, spróchniałym pniom zrobi, przewróci młynka i padnie... A tu na przodzie rzeka rwąca, głęboka, że aż mrowie przechodzi patrzeć na nią — wpław trudno, a tu z tyłu niewiedzieć zkąd i gdzie, walą a walą aż straszno! Wreszcie poprzestraszane Moskaliska, nolens volens obsy-

*) Patrz: „Pamiętniki za panowania Augusta III i St. Augusta“, przez X. And. Kitowicza. (Poznań. 1840.)

pawszy się chrestami, nuż do rzeki, jak ongi Lucyper do wody święconej!

A wtenczas dopiero nasi Konfederaci wyskoczywszy z pni — jak nie zaczną prażyć z brzegu poprzestraszanych w kąpieli bohaterów, toć ani jeden żywy z rzeki nie wylazł, a co nasi nie dobili, to utonęło w rwących nurtach Warty.

. . . . . .

Gdy wieść o tej porażce doszła do uszu pewnego jenerała moskiewskiego, o mało że się nie wściekł ze złości i żalu za dwoma rotami najlepszych swoich służalców — młody zaś nasz Sierotka otrzymał pochwałę i dyplom na rotmistrza za swoją odwagę i zręczność w wojennych przygodach...

VII.

Co się działo w Pyzdrach?

Zostawmy teraz naszego Sierotkę wśród dymu i huku dział na polu chwały, a sami powróćmy na chwilę do Pyzdr i odwiedźmy po kolei wszystkich naszych znajomych.

I tak zaglądniemy najpierw do dworku śp. starego pana majstra Szczygła, i pozdrowimy tam samotną wdowę, a matkę Piotrusia, później odwiedzimy plebanię i szkołę, a w końcu powiemy słówko o pani Maciejowej, niepocieszonej po stracie ukochanego mężulka.

Znajomą więc nam uliczką skręćmy najpierw z rynku do małego dworku na przedmieściu, z szeroką na froncie tablicą, na której niegdyś czytaliśmy napis: *Wojciech Szczygieł, majster szewski.*

Dziwneż to życie ludzkie! Łzami radości, to łzami boleści przeplatane, przemija ono bezpowrotnie, czas tylko pozostawia pod niem ślad i znaczy pamiątki, niestety, jak wszystko nietrwałe i przemijające!

Przypatrzywszy się bliżej i z pilniejszą uwagą staremu dworkowi niegdyś pana Wojciecha Szczygła, chociaż nieznaczne, znajdziem jednak zmiany, które mniej baczniejszemu oku łatwo ujść mogą. Po śmierci starego majstra nikt, jak widać nie śmiał strącić spróchniałej tablicy z pod strzechy; wisi tam ona jeszcze, na deszcze i śniegi wystawiona, a gdy jesienny wicher lub śniegowa zamieć zahuczy nad dachem starego dworku, spróchniała tablica zatrzęsie się i zajęczy, jakby w żałobie za swoim panem płakała... I nikt tamtędy nie przejedzie, nie przeżegnawszy się na widok tablicy pobożnie i nie zmówiwszy Zdrowaśkę lub Anioł Pański, za duszę poczciwego Wojciecha...

Jak przedtem i dziś w okienkach dworku zielenieją się kwiaty w doniczkach, ganek majony czerwonawym kwiatem pnącej się po szczeblach fasoli — w obejściu całem poznać czystą i schludną gospodynię, która się gospodarstwem zajmuje — ale nie dojrzysz tam w tem wszystkiem męskiej ręki! Od czasu śmierci starego pana Szczygła, pani Wojciechowa posmutniała znacznie, nie mając silnej woli i ręki do władania całem gospodarstwem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



PULVIS ES!...

(Fragment popielcowy.)

Byłem wówczas w tym błogim okresie życia, do którego tak tęsknił nasz serdeczny piewca sielankowy, Władysław Syrokomla, i o którym śpiewał ten „lirnik wioskowy“:

Gdzieżeś wieku mój młody, moje szkolne czasy,
Kiedy z wiarą młodzieńczą, z sercem i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgłem, przyrosłem na głucho!?

W wieczór popielcowy siedziałem nad „łaciną“ i kułem na pamięć czasowniki nieforemne trzeciej konjugacyi. Powtarzanie jednych i tych samych słów aż do nauczenia się ich na pamięć, usposabiały do snu młody mój umysł. Recytując więc wyrazy *tango, frango*, wsparty na łokciu, zasnąłem.

Po chwili śniłem.

. . . .

Wnętrze kościołka wiejskiego w dzień popielcowy.

Skromna świątynia przepełniona kornie modlącym się ludem. Przed ołtarzem siwowłosy kapłan, w fioletowy ornat przybrany, odprawia bezkrwawą ofiarę. Z boku na mensie przed ołtarzem mała tacka, a na niej garść popiołu, owego godła nicości. Poważny głos organu wtóruje szeptom modlitwy i westchnieniom pobożnego ludu. Czuję, iż dziwnie jakoś usposabia mnie to wiejskie nabożeństwo. Może dlatego, że wśród siebie widzę ową prostą wiarę, daleką od wszelkich dociekań i nie gubiącą się w żadnem rozumowanem kryteryum.

Kapłan kończy mszę i udziela ostatniego błogosławieństwa. Na wyrazy *„Benedicat vos Omnipotens Deus“* głowy się chylą, a ręce kreślą znak krzyża.

Msza skończona... Za chwilę kapłan staje na ambonie. Podnoszę wzrok na mównicę i widzę jak na parapecie ambony sługa ołtarza kładzie zżółkłą, o wstrętnym wyglądzie, czaszkę. Dziwną na razie wydała mi się ta demonstracya symbolu śmierci.

Cisza zaległa wnętrze kościoła; lud na równi ze mną zdziwiony widokiem trupiej głowy, ze zwróconemi na mówcę oczyma czeka, aż ten zacznie mówić. Wreszcie po chwilowem oczekiwaniu rozległ się donośny, dźwięczny głos kapłana:

„Pulvis es — et in pulverem reverteris“.

Prochem jesteś i w proch się obrócisz — były pierwsze słowa jego mowy, jakby *motto* do dalszego rozwinięcia tematu.

Począł mówić, a mówił płynnie i tak przekonywająco, jakby każde wygłoszone zdanie chciał wdrożyć w umysły słuchaczów. Zapał kaznodziei wzrastał coraz bardziej. Mówił o znikomości życia i zabiegów ludzkich.

Słucham i zda mi się, że słowa natchnionego kapłana wkradają mi się do serca, do duszy... Lud wzdycha, rozrzewniony mową swego plebana.

Aż wreszcie ten, wziąwszy czaszkę z ambony i podniósłszy ją w górę zawołał:

„Poznaj siebie, zalotna dziewico, która wdzięki swej urody roztaczasz dokoła i czarujesz niemi — oto twoja podobizna!

Spójrz na tę obrzydliwą, przez robactwo stoczoną głowę, dumny panie stworzenia, który pragniesz coraz nowych hołdów i zaszczytów, który wysoko wznosisz czoło i w swej dumie pomiatasz innymi — oto twój portret pośmiertny!

Patrz skąpcze i chciwcze, który nie zważając na honor i żadne inne względy etyczne, nie przebierając w środkach, dążysz tylko do zbierania skarbów, a obojętny na niedolę współbraci, często nawet z ich krzywdą, mienie swe powiększasz — oto co ci bogactwo twoje zapewnia“!

I tak, przechodząc wszelkie odcienia wad i występków, intryg i zdrad, kaznodzieja wskazywał na zmurszałą czaszkę.

Prochem jesteś... począł po krótkim odpoczynku. Jakże znaczenie tego wyrazu jest przerażającem dla tych, którzy za cel swego istnienia obrali sobie dewizę: żyć i używać.

Lecz są jednostki, których wyrazy te nie przerażają. Takimi są wszyscy ci, których serca czyste ożywiają cztery najwznioślejsze pierwiastki moralne: wiara, nadzieja, miłość i pragnienie wytrwania w dobrem. Te cztery pierwiastki — ów ideał człowieka duchowego — to jakby cztery bratnie dusze, chroniące od zwątpienia; człowieka ożywionego niemi, nie przeraża ostrzeżenie popielcowe *„pulvis es“*, lecz pogodny na duchu, uznaje on ich znaczenie, pomny, że życie to wędrówka chwilowa, pełna łez i goryczy, to ustawiczna praca i walka duchowa. Ci tylko mogą się nazwać szczęśliwymi, którzy, uznając się prochem, zabłysną czynami świetlanemi dla przykładu i dobra przyszłych pokoleń.

Kapłan skończył mówić. W słuchaczy wstąpiła otucha. Potrafił on przekonać, że *vanitas* życia materyalnego i zrozumienie jego znaczenia wskrzesza daleko podnioślejsze życie ducha, uszlachetnia serca i uczucia.

Po chwili fala ludu zbliżyła się do stopni ołtarza, a siwowłosy kapłan sypał popiołem ich pochylone głowy. Za innymi przykląkłem i usłyszałem nad sobą słowa ceremonii: *„Pulvis es et in pulverem reverteris“.*

Podniosłem wzrok na mówiącego kapłana i... ocknąłem się. W półśnie jeszcze widziałem jego poważne i pogodne oblicze i słyszałem głoszone przezeń słowa.

Otworzyłem oczy. Na stole paliła się lampa a przy niej rozłożona książka. Rzucam wzrokiem na jej bladą kartę i — co za dziwny traf — wyczytuję zdanie analogiczne ze słowami kapłana we śnie:

„Omnia peribunt, sed una virtus manebit“. *)

Leon Bogdanowicz.

*) Wszystko zaginie — jedna tylko cnota pozostanie.



wewnętrznych, dróg i komunikacyi, skarbu i rolnictwa, sprawa zostaje przedstawioną do rozpatrzenia radzie państwa a następnie do sankcyi cesarskiej.

Ustawa łódzkich składów towarowych w dniu 15-go i 27-go marca r. z. uzyskała sankcyę cesarską, a już w dniu 6 kwiet. 1899 r. Towarzystwo tychże składów towarowych rozpoczęło swoją działalność.

Kapitał Towarzystwa wynoszący 1,875,000 rubli pokryty głównie został przez założycieli, a główny kierunek instytucyi spoczywa w ręku Rady Zarządzającej i dyrekcyi. Prezesem Rady został p. baron Juliusz Heinzel, zaś wiceprezesem p. dr. prawa Napoleon Hailliant z Bydgoszczy. Na początek Towarzystwo wybudowało obszerne a piękne składy w Łodzi i w Alexandrowie pogranicznem, ma także zamiar wybudować własne slady w Warszawie, Sosnowicach i wszystkich ważnych centrach handlowych po Królestwie i Cesarstwie.

Nie ograniczając się przyjmowaniem do przechowania towarów, wydawaniem pod zastaw tychże pożyczek, Towarzystwo czyni wszelkie starania, aby rozwinąć operacye pożyczek wydawanych pod zastaw warrantów, jako też dział komisowego kupna i sprzedaży towarów.

Ogólne zaufanie już dzisiaj jest nagrodą dzielnych założycieli Towarzystwa, zakup bawełny azyatyckiej dla wielu fabryk łódzkich i petersburskich, wełny dla Łodzi i Białystoku, szmat itp. artykułów odbywa się już w znacznych partyach przy pośrednictwie Towarzystwa, sprzedaż artykułów przez wewnętrzne gubernie cesarstwa eksportowanych, jak np. mąki, zboża, siemienia lnianego, makuchów, szczeciny, skór itd. itd., odbywa się również w znacznych partyach przy pomocy Towarzystwa ku zadowoleniu producentów i nabywców towarów. Rozumie się, że przy tak wielostonnej działalności Towarzystwa koniecznem się okazało umiejętne zorganizowanie poszczególnych działów, jako organów wykonawczych obszernego programu działań tej instytucyi. Nie łatwe to zadanie ukonstytuować prawidłowe działanie organów, zakupu towarów w najdalszych nawet miejscowościach państwa rosyjskiego, sprzedaży eksportowanych towarów po za granicami państwa, ekspedycyi celnej, taryfikacyi kolejowej, taksacyi zastawów itp. Wykonanie trudnego tego zadania powierzonem zostało p. dr. Hailliant, wice-prezesowi Rady Zarządzającej, który się z podjętej pracy świetnie wywiązał. Słyszeliśmy, że Towarzystwo ma wkrótce przystąpić do drugiej emisyi swoich akcyj, do kupna których bez wątpienia znajdzie się wielu amatorów.

Na tem ograniczam dziś moją korespondencyę z wycieczki do Łodzi, a w jednym z następnych numerów opiszę obszerniej miasto samo, któremu pod względem rozwoju, handlu i przemysłu rokują wielką przyszłość. *M. B.*



Z krwawych dni.

(29 kwietnia 1848 roku.)

Po zawarciu konwencyi Jarosławieckiej, na mocy której ograniczono siłę czterech obozów polskich, obóz w Książu oddany został dnia 22 kwietnia pod dowództwo majora Floryana Dąbrowskiego, który go przejął z rąk swego poprzednika, pułkownika Budziszewskiego w stanie zupełnej rezorganizacyi. To też pierwszem staraniem Dąbrowskiego było zaprowadzenie karności wojskowej. Siły były bardzo nieliczne: znajdowało się bowiem w obozie wogóle 708 ludzi, a zatem mniej niż konwencya Jarosławiecka pozwalała. Było mianowicie 508 kosynierów, 80 strzelców, ze 120 koni kawaleryi i 23 konie rezerwy do służby sztabowej i do pociągów.

Dzięki staraniom Dąbrowskiego obóz powoli przychodził do porządku, organizacya wojskowa posuwała się szybkim krokiem naprzód, bez naruszenia zresztą zawartej w Jarosławcu konwencyi.

Gdy jednak oddziały wojska pruskiego stojące w Kórniku, Śremie, Dolsku, Gostyniu, Koźminie itd. coraz większych gwałtów dopuszczać się zaczynały, prawdopodobnem się stało, że Prusacy szukają zaczepki i że starcie będzie nieuchronnem.

W tem przypuszczeniu zażądał Dąbrowski posiłków i otrzymał jeden oddział strzelców z obozu pod Nowem Miastem, gdzie stał Garczyński, Mierosławski bowiem oskarżony o uległość wobec Prusaków, dał Dąbrowskiemu rozkaz stawienia stanowczego oporu.

Tymczasem wojska pruskie zaczęły się gromadzić około Książa. Wkrótce zdarzyła się sposobność, którą Prusacy wyzyskali, aby doprowadzić do starcia. Dnia 25 kwietnia rozeszła się po Książu pogłoska, że Prusacy wysłali szpiegów, aby Książ podpalić. Pogłoska ta miała o tyle cechę prawdopodobieństwa, że istotnie zaczęło się po mieście kręcić dużo osób podejrzanych. Przypominano sobie fakt, że żydzi niedawno podpalili Nowe Miasto. W środę dnia 26 kwietnia przyaresztowano dwie podejrzane osobistości; oddano je pod sąd celem wykrycia prawdy. Wkrótce potem zawezwał komenderujący siłami pruskiemi pod Książem pułkownik Brandt pułkownika Dąbrowskiego, aby uwięzionych ludzi niezwłocznie wypuścił, w przeciwnym zaś razie rozkaże obóz rozbroić. Termin był wyznaczony przez Brandta na 28 kwietnia do 10 godz. rano.

Pułkownik Dąbrowski na wezwanie Brandta odpowiedział, że uwięzieni ludzie zostaną wypuszczeni, jeśli niewinność ich sąd stwierdzi, w razie zaś, jeśli sąd ich winę udowodni, poniosą karę, na którą zasłużyli.

Spodziewając się napaści Prusaków, pułkownik Dąbrowski rozkazał zwołać lud z okolicznych wsi. Stawiła się wiara pod chorągwie — lecz piątek, termin wyznaczony przez Brandta, minął, a pruskie wojska nie atakowały obozu. Nie mając dość żywności, aby zwołanych ludzi utrzymać pod bronią, puścił ich Dąbrowski do domów. Tymczasem w sobotę, dnia 29 kwietnia o dziewiątej rano, patrole, powracające ze strony Śremu i Dolska doniosły, iż wojsko pruskie koncentruje się na trakcie od Śremu.

W godzinę później dały znać forpoczty jazdy, iż nieprzyjaciel się zbliża.

Trudno już było wówczas zebrać rozproszone po okolicznych wsiach pospolite ruszenie, aby jednak choć co najbliżej znajdujących się ochotników do przybycia do obozu pobudzić, zapalono słupy, na znak, że nieprzyjaciel już atakuje.

Siły, jakie się w obozie znajdowały rozłożono w następny sposób: szwadron kawaleryi stanął na prawem skrzydle za miastem, strzelcy zostali rozstawieni po za pierwszemi barykadami dla bronienia nieprzyjacielowi przystępu do miasta, kosynierzy, podzieleni na cztery kompanie, stanęli w każdym z czterech rogów rynku, wyjąwszy stu ludzi, których użyto na obsadzenie niektórych domów.

Przeciw tej garstce powstańców pułkownik Brandt wystawił 7 batalionów piechoty liniowej, kompanię strzelców, pięć szwadronów jazdy ułanów i huzarów, oprócz tego 7 dział. Wogóle siły pruskie liczyły 5320 bagnetów, 800 koni, 85 kanonierów, czyli przeszło 6 tysięcy przeciwko 753 powstańcom.

Około dziesiątej rano Prusacy opasali już dokoła miasto. Przed zaczęciem boju napadli oni na wozy, idące z żywnością do Nowego Miasta z obozu Książkiego i zabrali je, zanim konnica polska zdołała temu przeszkodzić.

O w pół do jedenastej przysłał Brandt parlamentarza, żądając niezwłocznego złożenia broni i bezwarunkowego poddania się.

Dąbrowski, licząc na posiłki mające nadejść z Nowego Miasta od Garczyńskiego, postanowił bronić się do upadłego.

Konnica polska, szwadron złożony ze 120 ludzi, stanęła naprzeciw niemieckiej jazdy, której czoło stanowili ułani, środek czarni huzarzy, a na tyłach stali kirasyerzy. Kawalerya pruska chciała pierwotnie okrążyć miasto i odciąć Polakom odwrót ku Nowemu Miastu, lecz szwadron jazdy polskiej odważnie stawił tej sile czoło i wykonania zamiaru przeszkodził.

O godzinie jedenastej rozpoczął się bój. Prusacy pierwsi atakowali. Najpierw stępa, potem mocnym kłusem puścili się w rozsypce ku Polakom. Młody kapelan, ks. Koszutski, znajdował się przy konnicy polskiej i udzielił jej błogosławieństwa w tak decydującej chwili. Rozległa się komenda: lance do ataku! Marsz — marsz! i z kopyta ruszyli Po-

lacy na wroga. Z odległości 60 kroków dali Prusacy ognia z karabinków. Nieostrzelane jeszcze konie polskie wielu jeźdźców w dzikiem przerażeniu z placu boju uniosły. Cały oddział jednak z impetem uderzył na Prusaków, a przedarłszy się przez pierwsze ich, rozluźnione szeregi, znalazł się w samym ich środku. Zawiązała się krótka, lecz straszna walka. Parci ze wszystkich stron, przygnieceni samą liczbą nieprzyjacielskich szeregów, ułani polscy nie mogli dotrzymać placu. Pierwszy pluton, czterdziestu jeźdźców polskich, z oficerem na czele, znalazł się nagle odcięty od reszty swoich, lecz zdołał się przedostać do Nowego Miasta. Podczas gdy drugi i trzeci pluton jazdy polskiej, gęsto trupem usławszy pole bitwy, cofnął się w rozsypce do swoich, polscy strzelcy dali ognia do pruskich ułanów. Osłabieni natarciem jazdy polskiej, prażeni z tyłu ogniem strzelców cofnęli się pruscy ułani w nieporządku po za linię bojową.

Tymczasem rozbite dwa plutony jazdy polskiej szybko sformowały znów jeden oddział i pod dowództwem dzielnego Józefa Czapskiego rzuciły się znowu na wroga, chcąc — po rozsypce nieprzyjacielskich ułanów — sprowadzić zamęt w szeregach czarnych huzarów, którzy stanowili drugą linię bojową. Garstka tych odważnych, licząca najwyżej 50 ludzi, rozbita powtórnie, wróciła po chwili do miasta i powiększyła szczupłe szeregi kosynierów.

Tymczasem zawiązała się walka wokoło miasta, a posiłki od Garczyńskiego nie nadchodziły. Wtedy to pisze Dąbrowski do dowódcy księcia karteczkę: *„przybywaj, atakowani jesteśmy, krew nasza już się leje.“*

Atak na miasto rozpoczął się od strony Śremu. Odezwały się pruskie armaty. Oddziały 18-go, 19-go, 7-go i 21-go pułku i oddział strzelców zgorzelickich rzęsisty grad kul posyła na garstkę walecznych obrońców miasta. Ciężar walki polegał wyłącznie na strzelcach, bo kosynierzy, skoncentrowani w środku miasta, nie mogli być użyci. Trzy razy Prusacy przypuszczali atak do barykad, trzy razy odparli ich strzelcy. Osiemdziesięciu strzelców, gdyż tylko tyle ich było, wyszli wreszcie z za barykad, rozsypali się w tyralierkę i celnemi strzałami znaczne wyrządzają szkody w szeregach nieprzyjacielskich. Dwóch majorów pruskich padło wtedy trupem. Z drugiej strony i pruscy strzelcy w tyralierkę rozsypani, wdzierają się do domów, lecz cofają się odparci przez kosynierów. Po dwóch godzinach działowego ognia, gdy ani jeden dom, należący do systemu obrony, nie dostał się w ręce pruskie, artylerya Brandta zdwaja ogień. Obrońcom miasta dodaje sił nadzieja posiłków z Nowego Miasta.

Lecz zdrada żydów i niemieckich mieszkańców miasta dokonywa tego, czego nie były w stanie dokonać ataki Prusaków. Drogami, wskazanemi przez żydów i Niemców, dostają się tyralierzy pruscy do domów z tyłu przez rowy i łąki, wypierają kosynierów z ulicy Śremskiej, odcinają od rynku część obrońców tej strony miasta i podpalają domy. Połowa miasta stała w ogniu, a żaden z obrońców nie rzucił broni pod nogi Prusakom. Walka nie ustawała ani na chwilę. Z każdego dachu, z każdego okna padały nieprzyjacielskie strzały na garść broniących się mężnie kosynierów, którzy wreszcie, widząc tyły zabrane przez nieprzyjaciela, będąc przerażeni kulami i ogniem pożaru, przygniatani spadającemi z dachów płonącemi belkami, cofnąć się musieli ze wszystkich ulic do rynku. Gdy teatr walki do rynku się tylko ograniczył, ze wszystkich stron grad kul morderczych sypać się począł na niedobitki obozu książkiego. Pięć godzin trwała nierówna walka, dowódca, mężny Floryan Dąbrowski, ani chce słyszeć o pardonie, choć ranny w głowę, rzuca się jeszcze na nieprzyjaciela, lecz osłabiony upływem krwi, cofa się ku głównemu odwachowi w rynku.

Wtedy szef konnicy, Leon Smitkowski, wysyła Sokolnickiego jako parlamentarza z doniesieniem, że Polacy gotowi są poddać się wrogowi.

Poddanie przyjął Brandt pod warunkiem złożenia broni — i otrąbiono pokój. Wtedy jednak dopiero rozpoczęła się prawdziwa rzeź zwyciężonych, którym rozwścieklone żołdactwo pruskie nie mogło przebaczyć tak zaciętego oporu. Od kamienicy do kamienicy chodzili pruscy żołnierze, mianowicie strzelcy, i mordowali bez litości nawet bezbronnych i rannych. Pomimo protestu oficerów pruskich pastwili się i nad jeńcami, wybierając na swe ofiary zwłaszcza akademików, szlachtę i księży, jako dowódców. Dość powiedzieć, że więcej ofiar padło po otrąbieniu pokoju, niż podczas walki.

Ciężko ranny Floryan Dąbrowski ugodzony został raz bagnetem potem parę razy kolbą w głowę, tak iż naoczni świadkowie tych morderstw byli pewni, że ani iskierka życia nie została już w tem bohaterskiem ciele.

Już po dostaniu się Prusaków do miasta poległ komendant placu major Dzierżanowski, porucznik Seweryn Jakiewicz, Wawrzyn Łagodzki. Polegli też: Piotr Falęcki, dowódca batalionu, major Antoni Kamiński, kapitan Leonard Różbicki, młody Waligórski i wielu innych. Ogółem poległo około 140 Polaków.

Nawet lazaret, napełniony rannymi, nie uszedł cało. Strzelano przez okna do rannych i wielu pozabijano. Gdy z tego powodu w lazarecie panował straszny chaos i ranni śmiertelnie zrywali się z łóżek i tapczanów, chwytając za broń, aby przynajmniej z bronią w ręku poledz, wpadł nagle oficer pruski do głównej sali i kazał wszystkim czemprędzej wychodzić, gdyż żołnierze dom podpalili. Kilku rannych, którzy o własnych siłach z płonącego domu wyjść nie mogli, stało się pastwą płomieni. Po chwili runął z trzaskiem dom, grzebiąc pod ciężarem płonących gruzów nieszczęsne ofiary zbrodniczych instynktów „cywilizowanego narodu“.

Tymczasem konał waleczny Floryan Dąbrowski. Nie wiedząc o jego stanie, jeden z jeńców, towarzysz Dąbrowskiego, poprosił kapitana pruskiego o pozwolenie zajęcia się rannym dowódcą i wraz z kapitanem odszukał swego wodza. Dąbrowski poznał towarzysza broni, lecz mógł wymówić z wysiłkiem jedno tylko słowo: pugilares. Oficer Polak wziął pugilares do siebie na przechowanie. Potem wymówił Dąbrowski: „zegarek“, a gdy zegarek został wyjęty, wskazał Dąbrowski na oficera pruskiego, prosząc go wzrokiem, aby zatrzymał to na pamiątkę. Oficer wymawiać się począł, lecz ustąpił woli konającego

Dąbrowski, wraz z innymi rannymi przewieziony do lazaretu w Lubomirze, pod Śremem, skończył życie w kilka dni później na rękach zacnej Emilii Sczanieckiej.

Straszne rany odniósł Dąbrowski pod Książem. Jak opisuje dr. Matecki, który opiekował się nim w Lubomirzu, jeden kartacz zdarł mu całą skórę z dolnej szczęki prawej strony, drugi przeszył wskroś prawe przedręcze; rana od jednej kuli karabinowej widniała w okolicy skroni, druga przeszyła cały brzuch: armatnia kula strzaskała mu kość w biodrze na miazgę.

I tak poszarpanego kulami, strzępy ciała ludzkiego, a nie człowieka, mieli serce bić Prusacy kolbami i kopać tak, że ślady ostróg pozostały niemem świadectwem popełnionej na konającym zbrodni.

Niemcy i żydzi po zajęciu miasteczka przez Prusaków, wskazywali żołdactwu wszystkich mieszczan, którzy mieli jakąkolwiek styczność z powstańcami. Wskazano między innemi kucharza z ratusza, oskarżonego, że jedzenie sztabowi polskiemu gotował. Za to Prusacy tak bezbronnego posiekali, że gdy go przywieziono do lazaretu w Lubomirzu, podług świadectwa doktora Mateckiego policzki, nos i uszy zaledwie mu się na kawałkach skóry trzymały.

Ogółem rannych około 150 przewieziono nazajutrz po bitwie do Śremu,

więźniów zaś tegoż dnia też do Śremu przetransportowano i pomieszczono w żupie solnej. Pierwszego maja odstawieni zostali oni do Poznania.

Dr. Kazimierz Rakowski.



Polny wiatr.

Powiedzże mi, polny wietrze,
Czemu ty tak płaczesz,
Czemu smutnym swoim szumem
Do serca kołaczesz,
I wnikasz mi na dno duszy
I tam w jego głębi
Budzisz smutek i niepokój,
Co pali i gnębi? —

* * *

Ha, ja płaczę i zawodzę
Bo wieję z mogiły,
Na niej brzozy te płaczące
Na wieczność uśpiły
Młode hufce tych, co za kraj
W boju krwawym legli,
A wolności złotej brzasku
Jutrzni nie dostrzegli.

Ha, ja płaczę i zawodzę,
Tam za borem czarnym
Siwy wieśniak doorywa,
Znużon znojem marnym,
Żyznej niwy swego pana
Skibę już ostatnią —
Czy on uczci tę krwawicę,
Dłoń czy ściśnie bratnią?

Ha, ja płaczę i zawodzę,
Bo po ziemi wieję,
Pełnej krwawych łez i cierpień,
Gdzie zgasły nadzieje.
Wszystkie ziemi nieszczęśliwej
We mnie jęczą bole,
Ja je wszystkie w siebie garnę
Z niemi wieję w pole.

* * *

Tak zajęczał polny wietrzyk,
Powiał dalej w pole,
Głosił łzawe nasze nędze,
Troski i niedole
I zawinął w las ten ciemny,
Szedł po drzewach szum,
Szedł po dębach, szedł po bukach
Głosem smętnych dum.

I poważnie zaszumiały
Polskie drzewa w chór
I przyszłości hejnał grały,
Grał go cały bór:
Praca, równość i oświata,
Oto hasło nam,
W górę, w górę te sztandary,
Do wolności bram.

W Marcu 1900. *Ski.*

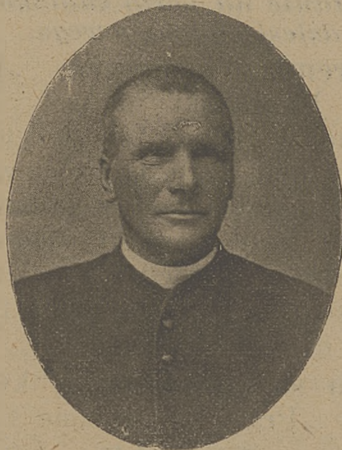


†

Nekrologia.

Ś. p. ks. kanonik Kasper Kaczmarek,

o którego śmierci pisaliśmy już w numerze 7-mym „Pracy“, na stronie 195-ej, należał do tych mężów, którzy w swej prostocie i szlachetnej skromności nie wysuwają się naprzód, na pozór nikomu nie narzucają przewodnictwa swego, a którzy mimo to są duszą wszystkiego, co się dzieje w koło nich, w ich zakresie urzędowania i działania. Dwunastoletnia praca śp. ks. Kaczmarka w Chełmcach była też jak rzadko bogatą w owoce. Gminy tworzące parafią podniosły



Ś, p. ks. kanonik Kasper Kaczmarek.

się ogromnie i zakwitły prawdziwie tak, że przykładem stały się dla błogosławionej ziemi kujawskiej. Ustało pijaństwo, ustało pieniactwo, duch zgody i miłości ogarnął parafian, a równocześnie budziła się chęć do pracy, do skupienia sił w celu polepszenia bytu. Rzadko to się pewnie zdarza, a może to i unikatem w Księstwie, iżby wioska licząca kilkaset mieszkańców, jak Chełmce — posiadała aż 4 towarzystwa: Kółko rolnicze, Towarzystwo przemysłowe, Towarzystwo Śpiewu i Towarzystwo robotnicze, oprócz tego bardzo zasobny i znakomicie prowadzony Bank ludowy. A w każdem śp. ks. Kanonik pracował z poświęceniem, każde otaczał swą opieką, to też rozwijały się pięknie i wydawały błogie owoce.

Dziś te oczy, które z taką miłością patrzały na lud polski, zamknęły się na wieki, przestało bić to serce, które lud nasz ukochało gorącą nad wszelki wyraz miłością, pragnąc jedynie jego dobra. Ale ziarno rzucone przez tego kapłana według słowa Bożego, nie zginie, a pamięć jego zapisze się głęboko w wdzięcznych sercach płaczących dziś nad tą bolesną stratą parafian. Niech spoczywa w spokoju!

* * *

W niedzielę, dnia 18 lutego, zakończył żywot doczesny śp. Stanisław Ratkowski, proboszcz w Unisławiu w Prusach Zachodnich, kapłan jubilat. — Nieboszczyk urodził się 5 czerwca 1823 w Drzycimiu. Świadectwo dojrzałości otrzymał roku 1845 w Gnieźnie. Wtedy wstąpił do seminaryum duchownego w Pelplinie. Wyświęcony na kapłana 17 czerwca 1849, na początku 1858 przeniesiony do Unisławia, tam przez przeszło 42 lat gorliwie pracował, dopóki sił starczyło. Przed ośmiu miesiącami obchodził 50letni jubileusz kapłaństwa, a choć życzył sobie go w cichości obchodzić, to jednak zwłaszcza parafianie jego w rozrzewniający sposób usiłowali mu swą wdzięczność okazać. Był to bardzo pobożny i cichą pracę lubiący kapłan, a przytem nadzwyczaj serdeczny i dobroczynny. Niech spoczywa w spokoju!

Wiadomości.

Pięknym podarkiem obdarzyło nas Towarzystwo Pań Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo,

„Jednodniówką“,

wydaną na dochód dla ubogich i chorych. Wydawnictwo to, wykonane artystycznie w drukarni „Pracy“, przedstawia się okazale zarówno co do strony literackiej, illustracyjnej, jak i pod względem techniki drukarskiej. Obok poważnych aforyzmów, urozmaica je wiele pięknych wierszy, nowelek, opisów i t. d. Nie pominięto również muzyki i wyposażono „Jednodniówkę“ w kilka kompozycyi wo-

kalnych: Żeleńskiego „W końcu dziewiętnastego wieku“, B. Dembińskiego „Krakowiaka“, ks. Poprawskiego „Goplanę“, Mieczysława Eichstaedta, H. Krzyżanowskiej i t. d. Do upiększenia wydawnictwa przyczyniły się wielce illustracye Fałata, prof. Jaroczyńskiego, Jana Mycielskiego, I. hr. Kwileckiej, Skibińskiego, Baranowskiej i innych. W dziale literackim spotykamy nazwiska ludzi wybitnych w społeczeństwie naszem, jak prof. dr. L. Rydygiera, ks. Biskupa Edw. Likowskiego, ks. Chotkowskiego, M. Moraczewskiego, J. Kościelskiego, Bełzy, hr. Engeströma, Maksymiliana Jackowskiego, ks. kan. Echausta, Mizerskiego, Jana Kasprowicza, dr. Klemensa Koehlera, prof. Dembińskiego, ks. prof. Pawlickiego, Jarogniewa Drwęskiego, dr. Opielińskiego, ks. Kolasińskiego, ks. K. Zimmermanna, dr. Stefana Waszyńskiego, Ludwika Ślaskiego, ks. Z. Zakrzewskiego, Stan. Mottego, Bernarda Chrzanowskiego, K. Puffkego i innych. Wiele pięknych utworów wyszło z pod piór niewieścich, i tak wymienić nam wypada, aby dać obrazek całości, pp. Maryą hr. Szembekową, A. Baranowską, Maryą Cichowiczową, M. hr. Kwilecką, Różę Erzepkową, Anielę Taczanowską, Konstancyę Morawską, A. Brezinę i inne.

Nie wątpimy, że

„Jednodniówka“

znajdzie sympatyczne przyjęcie u publiczności i wynagrodzi sowicie trudy i zabiegi, jakie poniosły panie z Towarzystwa św. Wincentego à Paulo około jej wydania. Wydawnictwo to, śmiało rzecz można, będzie ozdobą każdego salonu, tem milszą, że przyświeca, mu szlachetny cel miłosierdzia chrześciańskiego.

„Jednodniówkę“ można nabyć w administracyi „Pracy“ (Poznań, Rycerska 38). Cena za egzemplarz tylko 1,50 mk.

Spodziewamy się, że piękne to wydawnictwo rozejdzie się szybko, bo zasługuje na to nietylko cel, ale i wydawnictwo samo.

W następnym numerze „Pracy“ rozpoczniemy druk zajmującego szkicu literackiego pióra pani Róży Erzepkowej p. t. „Jan Kasprowicz“.

Autorów, ktorych pisma dotąd nie znalazły pomieszczenia w „Pracy“ przepraszamy. Taki jest nawał materyału nie cierpiącego zwłoki, że odraczać musimy artykuły i pisma nie podlegające przedawnieniu. Skoro tylko miejsce pozwoli udzielimy gościnności wszystkim po koleji.

Szanownym Czytelnikom Rożdzienia (Szopienic) na Górnym Śląszku zwracamy uwagę na to, że u rodaka naszego i druha, p. Karola Pronobisa, kupca tamże — otworzyliśmy agenturę „Pracy“.

Każdy nowoprzybyły abonent Rożdzienia i okolicy niech zatem zamówi sobie „Pracę“ w składzie p. Pronobisa.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Premią, mianowicie „Kalendarz Maryański na rok 1900“, otrzymają tylko ci Czytelnicy, którzy nam nadeślą prócz własnego kwitu abonamentowego także na dowód kwit nowego zjednanego abonenta i to kwit z końca zeszłego lub początku bieżącego miesiąca, a nie z datą starszą.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“ potrzebne nam są numera: 2-gi, 4-ty, 5-ty, 6-y 7-y i 8-y z roku bieżącego, o których nadesłanie upraszamy niniejszem naszych Czytelników, za co im się wywdzięczymy w inny sposób.

Agenturę „Pracy“ na miasto Bruch w Westfalii i okolicę otworzyliśmy w Bruchu u pana Wojciecha Chwiłkowskiego, prezesa Towarzystwa św. Michała — Hillerheide nr. 16 III, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bruchu i okolicy. U p. Chwiłkowskiego można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

Wszelkie oferty nadsyłane nam, a dotyczące inseratów, prosimy przysyłać w zapieczętowanych listach z wyraźnem oznaczeniem liter i znaków podanych w odnośnym inseracie, gdyż tylko w takim razie możemy je dalej wysłać interesentom. Listów bez oznaczenia liter i znaków uwzględniać nie możemy.

Ekspedycya „Pracy.“

Teatr. Wystawiona w ostatnim czasie tragedya Wincentego Rapackiego (ojca) p. t. „Histrjoni, męczennicy chrześciańscy“, osnuta na tle srogich bardzo prześladowań chrześcian za cesarza Dyoklecyana, cieszyła się wielkiem powodzeniem. Sztuka ta powinna się utrzymać dłużej na repertoarze i mieć taką siłę atrakcyjną jak „Ligia“, tym więcej, że tak gra artystów jak też wystawa są w tej pięknej tragedyi nadzwyczaj staranne.

W sobotę dnia 3-go marca danym będzie na premierę pełen humoru wodewil p. t. „Dwanaście żon Jafeta.“

W niedzielę, dnia 4-go marca wieczorem po raz drugi „Dwanaście żon Jafeta“, a po południu piękny dramat patryotyczny p. t. „Czaple pióro“.

Zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom na inserat fabryki ogniotrwałych tektur na dachy, asfaltu i przetworów smołowcowych pp. Sobeckiego i Wrzesińskiego w Główniе pod Poznaniem. Kantor znajduje się w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 20.

Fabrykę mydeł p. St. Zychlińskiego w Gnieźnie, jedyną polską fabrykę w tej branży istniejącą w Poznańskiem, polecamy względom Szanownych Rodaków, mianowicie panów kupców, gdyż obowiązkiem głównym naszym narodowym jest i być powinno popieranie na każdym kroku rodzimego przemysłu.

Cukiernią i skład cukrów, czekolady, biszkoptów, konserwów i t. d. p. J. W. Wróblewskiego w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej nr. 1, narożnik placu Wilhelmowskiego, polecamy względom Szanownej Publiczności miasta Poznania i prowincyi. Na odnośny inserat zamieszczany stale w „Pracy“ zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

Skład i pracownią modnego obuwia wszelkiego rodzaju (dla cierpiących na nagniotki odrębne formy) p. S. Lisiewicza w Poznaniu przy ulicy Berlińskiej nr. 12 polecamy względom Szanownej Publiczności miasta Poznania i przedmieść. (Patrz inserat stale zamieszczany w „Pracy!“)

Nowa Spółka krawiecka. Zwracamy uwagę na nowe przedsiębiorstwo polskie pod firmą: „Nowa Spółka krawiecka“, która przy Starym Rynku pod numerem 100 (narożnik ulicy Szerokiej) otworzyła skład sukna i magazyn garderoby męzkiej jako też dla chłopców. Wszelkie zamówienia wykonują się jak najstaranniej podług najnowszych żurnali po niezwykle niskich cenach. Nowe to przedsiębiorstwo polecamy względom publiczności.

Na porę wiosenną zaopatrzył p. W. Pawłowicz skład swój bławatów w Rogoźnie w różne materye wełniane dla pań, w różną bieliznę, oraz kamgarny, szewioty, sukna itd. na ubiory mężkie. Na odnośny inserat zwracamy uwagę Czytelnikom Rogoźna i okolicy.

Tragiczny wypadek zdarzył się w mieście naszem. Dnia 22-go z. m. wieczorem, wracając do domu, zmarł nagle znany w szerokich kołach obywatel, mistrz rzeźnicki Jan Leciejewicz. W zeszłą niedzielę odbył się jego pogrzeb przy udziale kilkotysięcznej publiczności. Kondukt prowadził ks. Michalski, proboszcz przy kościele św. Małgorzaty, w otoczeniu kilkunastu kapłanów. Za trumną, prócz licznych krewnych, szły trzy dziewczątka sieroty, gdyż matka ich zmarła również prawie nagle w dniu pogrzebu z żalu po śmierci małżonka. S. p. Leciejewicz liczył lat 38, żona jego liczyła 33 lata.

W Tow. Czytelni dla kobiet rozpocznie się niebawem p. Maryi Kremerówny szereg wykładów: „Z historyi sztuki nowożytnej“. Uczestniczyć w nich mogą tak członkowie Towarzystwa, jak i osoby do niego nie należące. Warunki ogłoszone zostaną po zebraniu kompletu słuchaczek. Zapisywać się na wykłady te można w Czytelni, ul. Wiedeńska 10, albo też u p. Maryi Kremer, Wilhelmowski plac 3 I.

W mieście powiatowem nad koleją, potrzebny koniecznie handel skór. Fachowy kupiec, z małym kapitałem, mógłby się dobrze utrzymać. Miasto i okolica ma wiele szewców, którzy muszą kilka mil po towar jechać od czasu śmierci ostatniego handlarza skór. Po bliższe informacye prosimy się zgłosić do „Gazety Bydgoskiej“ w Bydgoszczy.

Mogilno. Pan Michał Wolski sprzedał tutejszą aptekę panu Stanisławowi Elzanowskiemu z Cylichowy za 195 250 mk. Pan Wolski miał aptekę tylko pare miesięcy, a cena wynosiła przedtem 190 000 mk.

Karty jubileuszowe z portretem Ojca Świętego poleca p. J. Zieliński w Rixdorfie, Carlsgarten 17. Bliższe informacye podane są w odnośnym inseracie.

Załęże (Górny Slązk). W dniu naszej zabawy karnawałowej przesyłamy Szanownej Redakcyi serdeczne życzenia i „Szczęść Boże“! w dalszej pracy.

Członkowie polskiego Towarzystwa i czytelnicy „Pracy“ Nast. podpisy. — „Bóg zapłać“! Redakcya "Pracy".

Zwracamy baczną uwagę Czytelnikom na anons, dotyczący nabycia rzadko korzystnego interesu spedycyjnego pod bardzo korzystnemi warunkami. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym anonsie.

Zwracamy baczną uwagę Czytelnikom na anons, dotyczący nabycia cukierni w Chełmnie. Bliższych wiadomości udzieli p. I. Nikielewski tamże. (Patrz inserat).

Śluby. W Poznaniu w pięknie przybranej kaplicy Sióstr Elżbietanek zawarty został dnia 22 z. m. przed południem podczas uroczystej mszy św. związek małżeński pomiędzy panną Zofią Litkowską z Poznania, a p. Leonardem Swiątkowskim, kupcem z Obornik. Aktu ślubnego dopełnił ks. proboszcz Krzyżański.

Dnia 20 z. m. pobłogosławiony został w Baranowie (pod Ostrowem) w prześlicznie przybranym kościele miejscowym związek małżenski między panną Maryą Rotherówną i panem Mieczysławem Kornobisem, kupcem z Gostynia. Aktu kościelnego dopełnił ks. proboszcz Dziubek, wuj panny młodej, w asystencyi dziewięciu księży i przemówił do młodożeńców wniosłemi, rozczulającemi słowy. Gości weselnych podejmował ks. proboszcz hojnie w swym domu, przyczem odczytano nadesłanych życzeń młodej parze przeszło 150, telegramów i listów.

Dnia 21 lutego pobłogosławiony został w Gnieźnie w kościele katedralnym przed ołtarzem św. Wojciecha związek małżeński między p. mecenasem Kazimierzem Czaplą, adwokatem z Bytomia na Górnym Slązku, synem dra Franciszka Czapli, lekarza z Chełmna, i Pelagii z Rzepnikowskich, a panną Maryą Szeliską, córką ś. p. Teodora Szeliskiego, niegdyś właściciela ziemskiego w Pleszewskiem, i Antoniny z Karśnickich w Gnieźnie zamieszkałej. Błogosławieństwa kościelnego udzielił nowożeńcom ks. dr. Brunon Czapla, profesor przy seminaryum duchownem w Peplinie. Młodym parom „Szczęść Boże“!

Od Redakcyi.

Panu L. D. w Czempinie. Owszem zastosujemy się do Jego propozycyi. Za zjednanie abonentów dziękujemy serdecznie.

Panu S. w Krotoszynie. Dziękujemy — pomyślimy o tem. Numery żądane wyczerpane.

Panu Alfonsowi P. Dziękujemy — zamieścimy.

Panu Mieczysławowi Z. w Krakowie. Wynik konkursu zamieszczony w numerze 6-ym „Pracy“.

Panu Stefanowi K. w Krakowie. Dziękujemy — zamieścimy.

Panu Teodorowi S, w O. W księgarni J. Leitgebra w Poznaniu.

Wiarusom do Dąba (G. Ś.) Serdecznie dziękujemy za życzenia. Czołem!

Panu Ł. w B. Do „Pracy“ się nie nadaje.

Pani Stanisławie G, w Sł. Zamieścimy, ale prosimy o cierpliwość.

Panu F. M. w. Marten. Dziękujemy za łaskawą agitacyą.

Panu H. S. w Bochum. Wiersza p. t. „Do młodzieży“ nie możemy zamieścić ze względów prasowych.

Panu Michałowi B. w Dorocie, (G. Ś.) Pan dr. Bolesław Kapuściński w Poznaniu, ulica Wilhelmowska, udzieli bliższej informacyi.

A. N. w Dorocie, (G. S.) Odpowiednie wskazówki znajdziesz Pan w „Gospodarzu“, który nabyć można w księgarni J. Leitgebra w Poznaniu.

Mieczysław — Poznań. Rękopismy skutkiem rewizyi niestety zaginęły, więc nie możemy ich zwrócić. Za nadesłane nam numera „Pracy“ do skompletowania kwartalników dziękujemy najuprzejmiej!

Panu Józefowi Wronie w Tuchowie, (Galicya). Dom towarowy p. Ignatowicza w Poznaniu lub też fabryka i skład zabawek dla dzieci, p. Kretschmera w Poznaniu przy ulicy Wrocławskiej.

Panu E. Ł, w Iwiahelu p. Jeziorzany, (Galicya). Najserdeczniej dziękujemy.

Panu Wacławowi G. w Poznaniu. Wiersz znany i błędnie przepisany, więc do kosza!

A. L. Dryja. Niestety, artykuł musiał zaginąć.

Abonentce w Ch. Gazety polskie w Dreźnie nie wychodzą.

S. K. 10. poste-rest. Bonn. Listów bez podpisu nie uwzględniamy z zasady.

P. Cecylia K. Wiersz, niestety, nieumiejętnie przepisany z druku.

P. *A. Wysocki.* Zapatrujemy się na sprawę tak samo, jak Pan, ale do roztrząsania kwestyi, kiedy się zaczyna wiek dwudziesty już doprawdy brak nam miejsca. To tylko pewna, że roztrzygać kwestye można tylko argumentami naukowemi, nie zaś dekretem z góry.

P. *Sylw. Opończ.* Przyobiecał nam Pan korespondencyę — czekamy zatem. Niech Pan napisze o towarzystwach berlińskich polskich.

Imci Ks. Proboszczowi K. w N. Skutkiem licznych rewizyi, wydalenia p. dr. R. itd. artykuł ten zaginął.

Pani S. w Sremie. Sprostowanie nas nie doszło.

Panu M. W. w Obornikach. Rozwiązanie zagadki z powodu braku miejsca będzie zamieszczone w jednym z następnych numerów.

Panu Juliuszowi P. w Samborze, (Galicya). Ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

P. *Polecki.* Umieszczone. Adresu M. Konop. nie znamy.

P. *Szczep.* Prosimy, aby listy do druku przeznaczone pisać tylko po jednej stronie papieru.

Panu Zygm. S. stud. jur. w Gryfii. Zapatrujesz się Pan zbyt pesymistycznie na tę sprawę, więc „*Adiatur et altera pars!*“ Pisze nam mianowicie w tej kwestyi pewien zaszczytnie znany mecenas z prowincyi co następuje:

„Szanownej Redakcyi uprzejmie donoszę, iż dołączona do ostatniego numeru „Pracy“ illustracya p. t. "Obecny stan Polski“ jest piękną pod względem treści i ogólnie się podoba. Czy niemożnaby illustracyi tej nabyć jako obrazu w daleko większym formacie i na pięknym i trwałym papierze?“

Tam pesymizm — tu optymizm, więc „*de gustibus non est disputandum!*“

Panu W. O. w Środzie. Udaj się Pan w tej sprawie z całem zaufaniem z odwołaniem sie na „Pracę“ po informacye do „Redakcyi Gazety Handlowo-Geograficznej“ we Lwowie (Lemberg), ulica Akademicka nr. 8.

Pani Ell... w Trzemesznie. Z powodu nawału materyału nie mogliśmy zamieścić, a teraz byłoby „*post festum.*“

Pana Ludwika Miskę, radcę sądu powiatowego w Wadowicach, (Galicya), prosimy o podanie dokładne adresu, mianowicie ulicy i numeru domu, gdyż „Pracę“ wysłaną pod powyższym adresem zwróciła nam poczta z dopiskiem: „Adresat nieznany“.

Młodemu Górnoślązakowi. Ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Polce z Czarnego Dunajca, Wilusiowi i Wiarusowi z Cieszyna. Zamieścimy w jednym z następnych numerów.

Panu Józefowi P. w Inowrocławiu. Udaj się Pan wprost do Redakcyi „Szkółki Domowej“ w Poznaniu, Piekary 7.

Panu Ch. C. w Szamotułach. Naturalnie musisz Pan płacić podatek procederowy (Gewerbesteuer).

Panu Fr. A. w Słopanowie. Księgarnia Templowicza w Poznaniu.

P. K. Babisza w Stanisławowie, (Galicya), prosimy, aby podał dokładny adres, gdyż poczta wysłaną do Niego pod opaską „Pracę“ zwróciła.

Prymanerowi. Wiersz do „Haliny“ kwalifikuje się do albumu pensyonarki, nie do „Pracy“, więc do kosza!

„Mrda“ w Krakowie. Nie nadaje się do „Pracy“.

Panu Bolesławowi Ł. w W. B. (Pr. Zach). Najuprzejmiej dziękujemy. Adres: „Konwikt.“ w Poznaniu, ulica Seminaryjska“. Tam udzielą Panu bliższej informacyi.

Panu Zygmuntowi O. w Jeziornie, Galicya. Już wyczerpane.

Panu St. C. w Nowym Sączu, Galicya. Nie zamieszczaliśmy dla braku miejsca — posiadamy materyału w obfitości.

Panu St. H. w Witosławiu per Nakło. Już wyczerpane wszystkie kwartalniki.

Panu Fr. D. w Gerbersdorfie. Dziękujemy najuprzejmiej i życzymy Panu jak najspieszniejszego powrotu do zupełnego zdrowia.

Panu Kazimierzowi Cz. w Wielu. Zamieścimy w najbliższym numerze.

Leszczyc w N. Patrz odnośną notatkę w dziale „Wiadomości“.

Panu H. J. w Bydgoszczy. Księgarnia Leitgebra w Poznaniu.

Panu K. Szwabie w Dreźnie. „Przewodnik Przemysłowy“, Lwów, (Lemberg) gmach sejmowy. Kosztuje kwartalnie 1 zł. 20 ct.

Panu Antoniemu H. w St. Blasien. Albumowych illustracyi „Pracy“ na razie nie posiadamy w osobnych odbitkach. Za nadesłane numery serdecznie dziękujemy. Polskiego Towarzystwa nie ma — w Poznaniu jest Towarzystwo „Kosmos“, które polecić możemy.